

DROGA

Kolekcja
Emila Kornasia

N9

MIESIECZNIK

D R O G A

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO

PAŹDZIERNIK 1936

ROK XV

Nr. 9

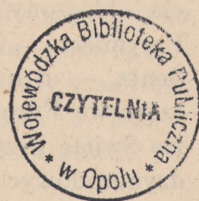
T R E Ś Ć

Jaromir Ochęduszek: Tło reformy Ligi Narodów . . .	653
Stefan Rychłowski: Problem melioracji Polesia (I) . . .	667
Jan Zbinden: Technika i odrodzenie	680
Tymon Terlecki: Wojciech Bogusławski — pisarz . . .	689
Wiktor Brumer: Wojciech Bogusławski — artysta teatru	697
Leon Schiller: W dworku na Nowolipkach	710
Wassan-Girej Dżabagi: Zagadnienie arabskie	724
KSIAŻKI. Życie Sztuki (Stefan Flukowski)	737

C E N A N U M E R U ZŁ. 2.-

Kolekcja
Emila Kornasia

DROGA Nr. 9



JAROMIR OCHEŃDUSZKO

TŁO REFORMY LIGI NARODÓW

Pokój jest to stała równowaga wiarytelności i długów każdego, zapisanych w jego własnej księdze i w księdze drugiego, równość pracy, którą winien wykonać, i tej, której może oczekiwać — czyli uznanych przezeń obowiązków i przyznanych mu praw.

R e n o u v i e r :
Science de la morale.

I

Każdy okres historyczny ma swoje zwyczaje dyplomatyczne w dziedzinie pojęć o organizacji współżycia międzynarodowego. Znany pod nazwą „równowagi politycznej“ system organizacji pokoju, który rozpowszechnił się jeszcze w XV-tym w. we Włoszech, stał się w w. XVII, po wojnie trzydziestoletniej, szczytem mądrości dyplomatycznej. Odtąd wszystkie wysiłki dyplomatyczne zmierzały do jednego celu — do przeciwdziałania niebezpiecznemu rozrastaniu się potęgi jednego z mocarstw przez odpowiednie łączenie się sił sojuszniczych. Myśl, aby w ten sposób stworzyć próg, przed którym zatrzymać się miały imperjalistyczne zapędy cesaropapizmu — w rezultacie doprowadziła do zupełnej demoralizacji w stosunkach międzynarodowych: gwałt uzyskiwał aprobatę przez to, że inni popełniali inne gwałty. Stąd polityka wypływająca z takiej doktryny nie ukłósała bynajmniej ludów do upragnionego snu o szczęściu — przeciwnie, stawała się zarzewiem coraz to nowych konfliktów.

System polityki sojuszów rozpoczyna w. XIX. Naprzód, w r. 1814, zostaje podpisany przez cztery państwa: Austrię, Prusy, Rosję i Anglię traktat w Chaumont; w traktacie tym czterej kontrahenci zobowiązują się *dans un parfait concert* zwalczać Francję. Niebawem jednak na gmachu

tego sojuszu, ufundowanego na antagonizmie do Napoleona, zaczynają występować silne rysy. Anglja i Austria, nie dowierzając Rosji i Prusom, już w czasie Kongresu Wiedeńskiego zawierają z Francją tajny układ asekuracyjny. Następnie w r. 1815 Rosja, Austria i Prusy powołują do życia obleczonego w szatę mistyczno-religijną sojusz pod nazwą Świętego Przymierza. „Chodzi państwow, — pisał wówczas sekretarz Metternicha, Gentz, — o *union intime* przeciw ruchowi rewolucyjnemu, który, rozpoczęty we Francji, mimo reakcji rozlewa się po całej Europie“. Ale narażone Święte Przymierze nie weszło do polityki w szerszych stosunkach międzynarodowych. W stosunkach europejskich obowiązywało przymierze, wznowione w Paryżu 20 listopada. Na wspólnych zjazdach ambasadorów, w myśl jego zasad, miano regulować stosunki między państwami; ustalono nawet komisję czuwającą nad pokojem Europy. Jednakowoż solidarność państw sprzymierzonych, nazewnątr bardzo ścisła, wewnątr miała pewne skazy. Przedewszystkiem Austria i Anglja nie dowierzały Rosji. I dlatego między gabinetem angielskim a Metternichem zawiązuje się coś w rodzaju ententy przeciw Rosji.

Tymczasem polityka mocarstw staje wobec nowych potrzeb. Francja żąda zniesienia okupacji. W tym celu w r. 1818 zwołany zostaje do Akwizgranu drugi zjazd monarchów, gdzie, niezależnie od zdjęcia okupacji i wciągnięcia Francji do sojuszu czterech państw, ustalono nową zasadę współdziałania: interwencję na życzenie odpowiedniego rządu. Na tej właśnie podstawie zamierzał Aleksander, jak sam pisze w liście do generała Pozzo di Borgo, stworzyć silną zaporę przeciw ruchom liberalnym — stworzyć w skali europejskiej gwarancję istniejącego porządku, opartego na postanowieniach kongresu wiedeńskiego. „An universal alliance for peace and happiness of the whole world“ — oto, wedle słów Castlereagha, główna myśl projektu Aleksandra. „Można twierdzić, — dodaje tenże nieco dalej, — że takie marzenia nigdy zrealizować się nie dadzą“. Okazało się to zresztą w sposób najbardziej jaskrawy w r. 1820, podczas rewolucji w Neapolu i Hiszpanji. Wreszcie — rewolucja, łamiąca traktat wiedeński skutkiem utworzenia belgijskiego królestwa przez te same mocarstwa, które w tym samym czasie Polsce odmówiły pomocy — grzebie ostatecznie system aliansu, regulującego stosunki europejskie na podstawie dwu zasad: interwencji i legitymizmu.

Po r. 1830 nastął okres ruchów rewolucyjnych. Mocarstwa w obawie, aby zarzewia tkwiące w sporach postronnych nie wywołały pożaru, który mógł je mocno osmalić, rzucały wówczas na szalę wydarzeń ciężary swojej woli, zmuszając słabsze państwa do takich a nie innych rozstrzygnięć. Temniemniej koncert europejski zawiódł w całym szeregu wypadków: nie

zrobił nic dla Polski, ani w r. 1831 ani w r. 1863, nie zapobiegł wojnie krymskiej, francusko-włosko-austrjackiej, prusko-austrjackiej, francusko-niemieckiej. Powtórę: koncert europejski — ta ostatnia próba realizacji, przed wilsonowską Ligą Narodów, idej mniej lub więcej szczerze pacyfistycznych — zawiódł także dlatego, że chociaż wypadki rozwijały się nietylko w granicach Europy (albowiem od samego początku w. XIX na rozwój stosunków dyplomatycznych wpływały fakty z poza Europy, fakty z nowego świata, Ameryki, jako imponderabilja, czynniki nieuchwytnie, a jednak istotne) — sfera patrzenia współczesnych polityków nie sięgała daleko poza Rosję na Wschodzie.

Tak więc z pobieżnego zarysu rozwoju kształtowania się idei organizacji pokoju widzimy, że dzisiejsza Liga Narodów nie zjawiała się jako *deus ex machina*, lecz zrasta się silnie z przeszłością. Odnajdujemy w niej cały szereg myśli, które światały poprzednio i — każda z osobna — zawiódły.

II

Rzecz prosta, historia nie wykazuje nigdy sytuacji identycznych; przynosi ona jednak stale sytuacje podobne, których dydaktyczne znaczenie pozwala sięgnąć do doświadczeń przeszłości i wnioski swoje oprzeć o *sui generis* empiryczną podstawę. Można mianowicie stwierdzić, że we współżyciu społeczeństw na szerokiej arenie światowej okres dyplomacji, który nastał po wielkiej wojnie i pokojowej konferencji paryskiej i który trwa jeszcze do chwili obecnej, posiada dużo analogij z okresem po kongresie wiedeńskim. Współcześni politycy uciekają się dziś, tak jak i wtedy, do tych samych sposobów działania w zakresie form organizacji współżycia międzynarodowego. Wiadomo, że tak jak wówczas chodziło o utrzymanie postanowień Kongresu Wiedeńskiego, istniał stały alians, rodzaj współczesnej Ligi Narodów, były stałe konferencje ambasadorów w Paryżu, były próby rozbicia, a nawet system utrzymania aliansu monarchów drogą interwencji — tak i dzisiejsza Liga Narodów stworzona została celem utrzymania postanowień Kongresu Wersalskiego. Pakt genewski był pomysły jako środek do zachowania tego, co stworzyła wojna i jej skutki: zwycięzcy mieli być chronieni, zwyciężeni — związani.

Dlatego Liga Narodów, oczywiście w odpowiednim przetworzeniu, wykazuje pewne zbieżności i koneksje ze Świętem Przymierzem. Święte Przymierze było związkiem trzech monarchij: Rosji, Austrii i Prus, i miało na celu zabezpieczenie ich hegemonji i zasad monarchicznych w Europie. Liga Narodów przy swem powstaniu miała zabezpieczyć hegemonję zwycięzców: Stanów Zjednoczonych, Anglii i Francji. Wskutek jednak niewstąpienia do niej Stanów Zjednoczonych stała się instrumentem polityki

Anglii i Francji. Następnie, po wstąpieniu do niej Rzeszy Niemieckiej, Niemcy i Włochy poczęły również wybijać w genewskiej mennicy monety na użytek wyłącznie własnej polityki. Rzecz ma się podobnie, gdy Francja w r. 1934 wprowadziła do Ligi Związek Sowiecki. Odtąd (nie trzeba chyba udowadniać) odbywa się powoli i systematycznie zwijanie dotychczasowego sztandaru Ligi Narodów. Z organu zwycięskiej ententy, stanowiącej podstawę autorytetu Ligi, przeistoczyła się ona formalnie w teren zaćiętych walk politycznych, w arenę gry dyplomatycznej. Powtórę; proces krystalizacji tego nowego charakteru Ligi, mimo wystąpienia z niej Japonji i Niemiec, ułatwia doskonale rozluźnianie się spistości dawnych sprzymierzeńców.

To też bliższe wpatrzenie się w istotę problemu pokazuje, że ów słynny „duch genewski“, wywoływany tak często w obliczu ryzyka otwarcia wojennych wrót świątyni Janusa, nie miał stałego gruntu, lecz wyrastał z czysto faktycznego zestrzelenia się suwerennych woli. Dopóki wole te były zgodne, mechanizm ligowy działał bez zgrzytów. Ale każda z nich puszczala się zawsze na hazard niedotrzymania słowa, jeśli jej to nie dogadzało. Zrozumiałe jest, że wobec tego oddawna w świecie spiętrzonych i skłóconych ze sobą interesów niema już związku i niema zwycięzców. Gdyby słowo „związek zwycięzców“ miało jakiś sens, musiałoby to znaczyć, że większość delegacji genewskich czuwa nad utrzymaniem w mocy paryskich traktatów pokojowych. Ale na czterdziestu paru członków Ligi Narodów dla czterdziestu jest zupełnie obojętne, do kogo należy Gdańsk, Siedmiogród, Słowaczyna czy Macedonja. W Genewie istnieje tylko cały szereg polityk, które obok siebie biegają i rzadko kiedy z sobą się stykają. Państwa, każąc chylić czoła przed nietkniętą swobodą własnych egoizmów, ugrupowały się na innych zasadach; świat nie pozostał przy r. 1919 — wprawdzie nie nauczył się niczego, ale się nie zmienił. Liga Narodów, powołana do zabezpieczenia pokoju, stała się więc dla pokoju niebezpieczna. Paradoks? Nic podobnego. Posługiwanie się aparatem Ligi dla samowładnych celów egoistycznej polityki aktualizuje niepotrzebnie drażliwości, wydymając do niebezpiecznych rozmiarów potencjalne spory.

Francja, walcząc o rozbudowę i wzmocnienie Ligi, oceniała i oceniała walor tego przedewszystkiem pod kątem własnego bezpieczeństwa, tego najistotniejszego kryterjum polityki francuskiej wogóle. Dążność do zmobilizowania świata w obronie jej i jej pretensyj towarzyszy stale wywodom prof. Barthélémy i wszystkich niemal pacyfistów francuskich z Leonem Bourgeois, autorem projektu Ligi Narodów, na czele. To nam tłumaczy, dlaczego lewicowy rząd Herriota poparł z taką pasją zasady Protokołu Genewskiego, który Benesz i Politis z trudem wypracowali, wywalczyli. A nie-

co później: memorandum Brianda, zmierzające do zabezpieczenia pokoju europejskiego systemem umów zapoczątkowanych w Locarno. Dodajmy — wskazując na najbardziej jaskrawe fakty — że projekt min. Delbos rewizji art. 11 i 16 Paktu tworzy *entente regionale*, idąc po linii uzależnienia wprowadzenia sankcyj od ugrupowań regionalnych — a będziemy mieli zamknięty krąg dowodzenia, że poza francuskim parawanem usprawnienia metod działania genewskiej instytucji ukrywa się właśnie wzgląd na jej własne bezpieczeństwo, a w danym wypadku myśl zalegalizowania ponadregionalnego sojuszu francusko-sowieckiego. System zbiorowego bezpieczeństwa, lansowany z uporem paranoików przez Quai d'Orsay z niesłychaną pedanterją godną lepszej sprawy, jest tu znów zręcznem użyciem magicznej firmy: pokój wołaniem o własne bezpieczeństwo. Stąd dla Francji, jak widzimy, Liga Narodów stanowi wykładnię światopoglądu stabilizacyjnego, ośrodek dążeń, mających wytworzyć rękojmię pokojowego współżycia narodów, a temsamem zabezpieczyć jej granicę zachodnią, granicę nad Renem.

Nie trzeba tu wdawać się w spór, jak dalece stanowisko takie zgodne jest z wymaganiami francuskiej racji stanu; wystarczy tylko zaakcentować z interesującego nas tutaj punktu widzenia, że stanowiska kształtowania się współżycia społeczeństw w ich obecnej fazie dziejowej, że ligowa droga polityki francuskiej usiłuje najrozmaitszemi środkami urzeczywistniać niemożliwość: świat pod szklanym kloszem, w którym silne poczucie formy zapoznaje treść; rozsądek obawia się przygód: rzeczywistość ustępuje przed fikcją. Czy schlebia czy grozi, zawsze to jest jej celem: nic nie powinno się zmienić po r. 1919.

Ostatnio lekcją takich poglądów była mowa Leona Bluma, wygłoszona w Genewie podczas wielkiej debaty nad reformą Ligi Narodów, w której premier Francji rzucił w świat jak płomienne żagwie wiele nieskonfrontowanych z rzeczywistością haseł. Gdyby nie wytworna, szczupła sylwetka szefa rządu francuskiego, zarysowana ostro na trybunie mówców, możnaby przypuszczać, że to przemawia Arystydes Briand lat temu dzieścić, że od tego czasu nie było fiaska konferencji rozbrojeniowej, że nie było Mandżurji i Abisynji, że nie rozpoczął się szalony wyścig zbrojeń, że nikt nie ubył z grona Ligi Narodów i że ludzkość zmierza ku świetlanej przyszłości. Europejska rodzina, europejska idea, wspólność losów Europy — zapewne: pięknie to brzmi w ustach premiera Francji; ale jakże daleko odbiega od „rzeczywistej rzeczywistości“ stosunków międzynarodowych! Niepokojące widmo Brianda wlecze się uparcie za polityką francuskiej republiki. To co obserwujemy jest walką między tem, do czego obowiązuje wielkie imię i świetna przeszłość, a naciskiem o wiele skromniej-

szej rzeczywistości. Fałszywe pojęcie o Lidze Narodów zagradza drogę prawdziwemu.

A teraz należy dodać coś, co przypuszczalnie wielu zdziwi: genewska polityka Niemiec była dla Ligi mniej szkodliwa, mimo związania sprawy pokoju z koniecznością rewizji granic. Sprawy przedstawiały się tu znacznie jaśniej. Bo o ile krzywa rozwoju francuskiej polityki ligowej, obarczona nawykiem paktowania i szukania rozwiązań, szła w ustępstwach niemal zawsze falisto — o tyle wiadomo było, czego może Liga spodziewać się od Niemiec i czego Rzesza domaga się od Ligi. Pamiętamy przecież patetyczną, wypchaną krasomówczymi zwrotami mowę Stresemanna z okazji przyjęcia Niemiec do Ligi Narodów; pamiętamy także, że tego samego dnia o kilka domów dalej Stresemann wygłosił przed zebranymi w Genewie rodakami słynną „Gambrinusrede“, która wskutek swej nielojalnej treści omal że nie rozbiła genewskiej sielanki z jesieni 1926 r. Niemiecka polityka określiła sobie dość jasno sprecyzowane cele: storpedować układ terytorjalny Europy, stworzony przez traktaty Wersalu, i wykorzystać Ligę Narodów do obalenia konsekwencji traktatu wersalskiego. Niemcy umieszczają zatem punkt ciężkości swojej polityki w wykazaniu światu, że art. 19 Paktu nie jest wystarczający i powinien być rozwinięty i uzupełniony. „Nie przez przygotowanie wojny przeciw wojnie, — głosiły niemieckie obserwacje, dotyczące prac komitetu arbitrażu i bezpieczeństwa, — będzie można jej uniknąć, lecz jedynie usuwając jej przyczyny. To zaś, zdaniem rządu niemieckiego, jest możliwe przez stworzenie procedury, gwarantującej stały pokój i usuwającej wszelkie sytuacje, mogące stać się niebezpiecznymi dla pokoju świata“. W praktyce politycznej myśl tę podejmuje później niemiecki model traktatu z r. 1928 dla „wzmocnienia środków zapobiegania wojnie“, który faktycznie — przez odsunięcie możliwości zastosowania sankcyj — stwarzał premję dla państwa działającego w złej woli. Przez długie lata falanga najwybitniejszych niemieckich prawników pracowała nad propagandą niemieckich idei; niemieccy profesorowie starają się zaszcześcić wszędzie swoją koncepcję Ligi.

Niemcy w swoich poglądach na cele i zadania Ligi nie są bynajmniej odosobnione. Kiedy kanclerz Hitler w r. 1934 wystąpił z Ligi i uzależnił następnie powrót swój nad Leman od oddzielenia Paktu od traktatów pokojowych — Włochy przemówiły niebawem podobnym językiem, oddając jakby hołd Niemcom, z cichą i skromną nadzieją na pozytywną wartość zaskarbionej wczas wdzięczności. Mussolini, grając dotychczas na konflikcie Niemiec z szeregiem państw na terenie Ligi Narodów, nie był zadowolony z wycofania się Niemiec z Ligi i szukał takiego wyjścia z wytworzonej sytuacji, któreby umożliwiło powrót Niemiec do Ligi. Budując nowy

gmach życia międzynarodowego na zasadzie faszyzmu, Mussolini tolerował Ligę tylko jako aparat solennego przypieczętowania decyzji, powziętych w gronie mocarstw. Już w pierwszych dniach grudnia 1933 r. zapadła uchwała Wielkiej Rady Faszystowskiej, uzależniająca udział Włoch w Lidze Narodów od „radikalnej” reformy tej instytucji, która powinna być uskuteczniiona w czasie najkrótszym i która ma dotyczyć ustroju Ligi i jej zadań. Pierwszą taką próbą miała być inicjatywa uporządkowania Europy i ocalenia genewskiej instytucji przez wodza włoskiego faszyzmu na podstawie założeń „Paktu Czterech”. Pakt Czterech miał uwolnić Ligę Narodów od traktatów pokojowych, usunąć — drogą ograniczenia praw mniejszych państw i uproszczenia procedury ligowej — paraliżujące Ligę Narodów spekulacje innych członków genewskiej instytucji. Mussolini, poszukując formuły: *do ut des*, przedstawił Europie rewizjonizm jako nową gwarancję pokoju. Uderzono tu w bęben, a skutki tego tak niedawno odczuła na swej skórze Abisynja. W ten sposób niemiecka koncepcja przebudowy Ligi i włoski projekt tej reformy żłobiły sobie wspólne kanały, zlewające się w jeden wspólny strumień: pragnienia ekspansji i bezpieczeństwa.

Na innej jeszcze podstawie rozsiadła się genewska polityka Albionu. Znajduje się ona jakby w połowie drogi między francuską a niemiecko-włoską walką o charakter Ligi. W polityce brytyjskiej teren genewski stanowi *clearing-house* polityki międzynarodowej, gdzie neutralizują się wszystkie nieporozumienia dzięki pośrednictwu angielskiego maklera. Genewa — to wytworny salon, w którym mocarstwa łaskawie podejmują swoją klientelę, salon, pozwalający uchwycić *in flagranti* nurt opinii publicznej świata. I nie powinna być ona niczem więcej. Oczywiście, rzecz zmienia się, gdy — jak to miało miejsce z wojną włosko-abisyńską — aktywniejsze stanowisko Ligi może być cennym narzędziem i świetną odskocznią dyplomatyczną dla obrony własnych interesów. Gdy potrzeba ich obrony odpada, walka z barjerami sankcyj staje się nakazem taktyki rządów angielskich w Genewie. Konserwatyści, obalając Protokół, dali wzamian Locarno czyli ograniczyli obietnicę pomocy do Renu, co stanowiło moralne osłabienie Paktu. W r. 1929 labourzyści, gdy doszli do władzy, zapomnieli o Protokule, widząc w Pakcie Kellogga wystarczającą gwarancję bezpieczeństwa. Zresztą wszyscy Anglicy godzą się zawsze z punktem widzenia Chamberlaina, który w mowie wygłoszonej w Genewie w r. 1925 oświadczył: „Rząd Jego Królewskiej Mości nie podziela opinii, jakoby Liga bez sankcyj była bezsilna”. Anglicy pragną zespolenia świata raczej przez wolność, niż przez przymus. Obyczaj, nie zaś reguła spaja państwo brytyjskie. Przypomniął to Neville Chamberlain w mowie wygłoszonej na bankiecie klubu konserwatystów w czerwcu r. b.

Znaczenie Ligi sprowadzone zostało tutaj do roli instytucji o znaczeniu moralnem i o efekcie nie przywyższającym efektów Paktu Kellogga. Umysł angielski do tej opinii ma wiele zaufania i wierzy, że jeśli konflikt zostanie wpieryw przedyskutowany na forum publicznem, możliwość wojny zmaleje do zera. Być może, z punktu widzenia psychologii narodu angielskiego jest to zrozumiałe; tylko że tu nie idzie o znalezienie przyczyn, lecz o unaocznienie świata, że polityka angielska, sprowadzona na dłuższą metę w takie łożysko, podminowuje prawne podstawy Paktu na rzecz czynników czysto politycznych; a opinia publiczna staje się chwiejna i niezdecydowana wobec faktu dokonanego — wybuchu wojny. Więcej: błędem polityki angielskiej, stojącej jak rachityczne dziecko przy chorej Lidze Narodów, jest mniemanie, że wyleczyć ją można każąc innym za nią umierać. To też efekt takiej polityki musi być conajmniej wątpliwy. Ci zaś z pośród Anglików, co rozumieją jej niebezpieczeństwo dla pokoju świata, dochodzą do przekonania, że dla ratowania Ligi potrzeba najpierw uznać własne błędy. W czerwcowym zeszycie *National Review* znajdujemy wstępny artykuł, zaczynający się od takich konstatacji: „Trudno określić obecną sytuację państwa brytyjskiego; osłabienie naszych sił obronnych, nasza ignorancja w sprawach innych krzywd, rozluźnienie spoistości imperjum stworzyły położenie, do którego doprowadziły niedbalstwo, nieznamość rzeczy i chwiejność“. Istotnie, słuszny to i surowy sąd; konferencja dardaneńska w Montreux potwierdziła go w zupełności. Dwutorowość angielskiej polityki — podobnie jak i fatalne następstwa briandyzmu, które obecnie ponosi republika francuska — doprowadziły Ligę Narodów do upadku i zupełnego rozprzężenia, zamknęły ją w jakimś leprosorium, wskazując na jedno wyjście: na cmentarz.

Z pobieżnego przeglądu trzech walczących ze sobą o lepsze koncepcyj Ligi, jakiego tu dokonaliśmy, okazuje się, że Liga Narodów jest emanacją interesów polityki trzech czy czterech t. zw. wielkich mocarstw i w ich granicach warunkuje swoje istnienie; procedura ligowa poczyną działać dopiero wtedy, gdy porusza ją siła napędowa w postaci akcji jednego mocarstwa lub grupy mocarstw. Praktycznie Liga stała się okazją do osiągnięcia przez jakieś państwo osobistego profitu i przeprowadzenia własnych pragnień — a więc środkiem do celu, a nie celem w sobie, mającym zabezpieczyć pokój. W tem tkwi jedno z najistotniejszych nieporozumień — rozminięcie się z poczuciem, czem powinna być Liga Narodów. Czas więc najwyższy wyraźnie sobie uświadomić, że to, co w Genewie pędzi swój kosztowny i niepewny żywot, nie tylko w swem działaniu zewnętrznem, ale i w wewnętrznej postawie państw, nie jest współpracą międzynarodową, lecz prymitywnym systemem wzajemnie regulowanych wy-

muszeń. Jest to szczerą prawdą, że żadne państwo nie chce ponosić ofiar dla ogółu, lecz samo żąda ich od innych.

Przy tym sposobie myślenia, z drugiej strony, zapomina się niejednokrotnie o jednym: że żadne państwo nie może żądać więcej praw i pomocy, niż chce innym samo zapewnić. Innemi słowy: wartość Ligi Narodów i jej treść istotna zależy od tego, do czego ją użyją poszczególne państwa. Inaczej Liga jako instytucja ramowa jest bezsilna. Znany pacyfista i polityk grecki, Politis, w swem przemówieniu w Paryżu w Institut Carnegie dopatrzył się w tem z jawnym prawie bezwstydem korzyści z genewskiej instytucji, z pewnością nie tej, dla której jest przeznaczona i której dziś nie da się zagadać takimi czy innemi frazesami. Nie ulega najmniejszej kwestji, że polityka pokojowa, choćby najbardziej konsekwentna, ma znaczenie tylko o tyle, o ile wyraża się w wynikach praktycznych i dotykalnych. Dotąd w Genewie niczego jednak nie rozstrzygnięto; Liga Narodów przynosi nam jedynie słowa, mowy, farbę drukarską i papier. I tak będzie nadal, dopóki państwa, które podjąć miały we wrześniu bież. r. dyskusję nad reformą Ligi Narodów, nie zgodzą się na ujawnienie swojego rzeczywistego stanowiska i dopóki nie przestaną wierzyć, że manewr dyplomatyczny jest siłą sam dla siebie.

III

Nie potrzeba chyba podkreślać, że stan ów nie wybija „nuty potrzebnej do złożenia akordu harmonijnego ludzkości“. Najgorsze jednak jest to, że Liga Narodów nie posiada żadnego statutu, lecz zagmatwaną mieszaninę paragrafów. Wielką ideę obwarowano rozsypującą się, pełną luk kazuistyką, z której wypływające wskazania zaopatrzone są w tylne drzwiczki najrozmaitszych zastrzeżeń, dopuszczających interpretację dostosowaną do potrzeb chwili, a przeto mogą być każdego czasu zakwestjonowane. W kupę paragrafów wtłoczono przemoc i rozsądek, skostnienie i rozwój, ogień i wodę — i teraz świat się oburza, że nic z tego nie wychodzi. Obok każdego obowiązku jest kontrobowiązek, który tamten znosi.

Nie będziemy zatrzymywać się tutaj szczegółowo nad „logiką“ poszczególnych artykułów Paktu; przejrzymy tylko parę jego charakterystycznych ustępów. Istnieje art. 10, na którego podstawie państwa gwarantują „nietykalność terytorjalną i niezależność polityczną członków Związku“. Z drugiej strony — sprzeciwia się mu inny artykuł Paktu, słynny art. 19-ty, który może służyć za narzędzie pokojowej rewizji granic. Tak więc każde państwo może wyczytać w Pakcie to, czego pragnie: bezpieczeństwo i ochronę, rewizję i wzmoczenie własnej potęgi. Idźmy jeszcze dalej. Z art. 8-go Paktu wypływa obowiązek rozbrojenia się wszystkich

członków Ligi. Co do samej zasady niema wątpliwości; jednak prawniczo jest to jawnie nieuzasadnione. Zważmy bowiem: naprzód mówi się o zmniejszeniu zbrojeń, które każde państwo może rozmaicie tłumaczyć, a potem dopiero uzależnia się je od osiągniętego stopnia bezpieczeństwa. Jasne, że przy takiej kabalistyce prawniczej niemożliwe było sprowadzenie problemu rozbrojenia i bezpieczeństwa w łóżysko rzeczowego sądu.

Następstwa tego, jak wiadomo z doświadczenia, były olbrzymiej wagi. Po pierwsze, przystąpienie do Ligi w tych warunkach stało się zwykłą, nie obowiązującą do niczego formalnością. Poza tem, staliśmy się świadkami groteskowego widowiska, jakim były wszystkie, rokrocznie zwoływane, konferencje rozbrojeniowe. Trudno przecież wątpić, żeby humanitaryzacja wojny — oś wszystkich dyskusyj — miała być tem najmilszem pocieszeniem, ilekroć ludzkość nawiedzała niepokojąca myśl o przyszłej wojnie, tym krokiem ku umoralnieniu stosunków międzypaństwowych. Widzimy tu zatem stale, jak sama wojna jako organizacja była usprawiedliwiana, szanowana i wdzięcznie szminkowana. Rozumowano, że pozwalając zabijać się pięcio- zamiast dziewięciomilimetrowymi kulami, kulami karabinowymi, nie zaś armatniami, narody prędzej czy później złączą swe dłonie w uścisku, wyrażającym ufność i zaręczenie. Wiadomo — rozwiązanie to okazało się zawodne. Myśl, aby zabezpieczyć pokój drogą sprzedawania innym rewolweru, którym mają nas zastrzelić — zbiera obecnie zgola niepożądane kąkole zakrojonego na olbrzymią skalę wyścigu zbrojeń. Konferencje rozbrojeniowe, układając prawa stron wojujących, zaakceptowały wojnę jako jeden ze sposobów regulowania stosunków międzynarodowych, reaktywowały odwieczną maksymę: „jeśli chcesz pokoju, gotuj wojnę“. Coprawda, nietrudno byłoby znaleźć pewne argumenty usprawiedliwiające. Faktem jest w każdym razie, że Liga w swej dotychczasowej formie zawiodła pokładane w niej nadzieje. Zawiodła nadzieje przede wszystkim nie przez to, co robiła, lecz przez to, że udawała to, czem nie była.

Problem Ligi Narodów od pierwszej chwili istnienia (i to jest jej pierwotnym grzechem) nie był w swem najgłębszym, najistotniejszym znaczeniu ani zagadnieniem prawniczym, ani historycznym, ani ekonomicznym, jakby na pierwszy rzut oka zdawać się mogło, lecz jedynie zagadnieniem etycznym. Gdyby świadomość tego wcześniej dotarła do szerokich kół opinii publicznej, to — zamiast przynosić bolesne zawody jej protagonistom — Liga mogła rolę swą odegrać z większą korzyścią dla wszystkich. Wilson, zamierzając ułatwić Stanom Zjednoczonym wejście do Ligi, nadał postanowieniom Paktu nie prawny, lecz moralny obowiązek. Z drugiej strony (i w tem tkwi również przyczyna jej niedomagań) — na

barki Ligi Narodów spadł fakt pomieszczenia w prawie międzynarodowym literatury i etyki. Z którejkolwiek strony spojrzymy, jego istota prawna — w popularnem tego słowa znaczeniu — ukazuje się w wątpliwem świetle co do zdolności normowania współżycia narodów w myśl porządku, któryby odpowiadał pewnym ideałom a nie był wynikiem czysto faktycznego ustosunkowania się sił.

Nelson w ciekawej, może przestarzałej, ale niepozbawionej akcentów aktualności pracy *Rechtswissenschaft ohne Recht* wykazał z wielką dozą słuszności, jak cały szereg teoryj prawa międzynarodowego u różnych wybitnych autorów niewiele ma wspólnego z powszechnie przyjętą ideą prawa. Prawo międzynarodowe nie jest doktryną jednolitą: obejmuje ono ściśle fakty prawne i zbożne życzenia ludzi dobrej woli. Siła jego stoi w stosunku prostym do normowanej rzeczywistości, w odwrotnym zaś do jej zróżnicowania. Dlatego to „bez społeczności, — jak pisze Westalke w *Etudes sur les principes du droit international*, — niema prawa, bez prawa niema społeczności“. I naodwrot: ile społeczności, tyle praw. Ale w tem właśnie rzecz, że z dotychczasowych stosunków między państwami okazuje się, że społeczność państw jest raczej fikcją niż rzeczywistością. Wobec tego nie pozostaje nic innego, jak smętnie stwierdzić za prof. Julianem Makowskim, że „prawo międzynarodowe jest najsłabszym rodzajem prawa, ale prawem zawsze pozostaje“.

Liga Narodów, mająca być przynajmniej teoretycznie instancją, która czuwa z pewnej wyżyny nad przestrzeganiem tego „najsłabszego prawa“, nie mogła i nie może być zdolna do normowania stosunków, wśród których zderzają się interesy o najcięższej wadze. Poczucie prawne, poczucie obowiązków, nałożonych przez pragnienie celowego funkcjonowania współżycia międzynarodowego, może powstać dopiero wtedy, gdy współżycie to skryształizowało się już w pewnych jasno określonych kształtach. Bo jest niewątpliwe, że tam, gdzie powstaje społeczność, tam niebawem rodzi się moralność jako straż jej potrzeb. Tego zaś w życiu międzynarodowym dotąd jeszcze nie było. Zapewne: pod świeżem wrażeniem wojny, w atmosferze pokojowego entuzjazmu, zapowiedź Ligi Narodów zmęczone długą wojną narody powitały z nadzieją, że stanęliśmy u progu nowej ery — jasnej szczęśliwości. O dobrej woli ludów po tak srogich doświadczeniach nie można było wątpić; nawet nawrócenie dyplomatów wydawało się szczere.

Zawód był gorzki. Płomień zapłonął i zgasł. Genjusz wojny, Clemenceau, umiał tylko przygotować wojnę i to mu się straszliwie udało. Narody, niepomne doświadczeń niedawnej przeszłości, stanęły ponownie na szlakach historii w kolczastej zbroi i z marszem na czołe. Wiązać, zamiast spajać: to

była zbrodnia traktatów paryskich. Zło leży jeszcze głębiej. Wersal tak silnie utożsamiał Ligę Narodów ze sobą, że gdy postawił państwa we wrogim do siebie stosunku, przywiódł ją do upadku. Gdyby u schyłku wielkiej wojny państwa znalazły drogę, któraby mogła ewentualnie zastąpić traktaty paryskie — jednostronne zerwanie przez Niemcy militarnych klauzul traktatu wersalskiego nie podważyłoby równocześnie autorytetu Ligi Narodów. A stało się tak dlatego, że nikt w Wersalu o tem nie myślał; celem wówczas było, co powiedzieliśmy już poprzednio, przydusić zwyciężonych, nie zaś zapobiec wojnie.

Następnie inne jeszcze czynniki, które dotąd nie działały wogóle, stworzyły wał, przed którym zatrzymać się musiał pochód idei Ligi Narodów pobratania się ludów w wyższym, wspólnym ideale. Liga Narodów w swej najczystszej formie jest koncepcją demokratyczną, w której państwa przestają być celami, zaczynającemi się i kończącemi w sobie, i wchodzi jako części w skład całości wyższej, bo syntetyzującej najszerze interesy. Suwerenność indywidualna ukorzyć ma się tutaj przed interesem zbiorowym. Tymczasem drogi rozwojowe poszczególnych państw prowadzą ku formom ustrojowym, zakładającym, że jego „tak chcę“ jest wystarczającym argumentem działalności zewnętrznej państwa. Oczywiście: tam, gdzie państwo czyni z siebie boga, niema miejsca dla innego bóstwa. To też forma państw totalnych, autorytatywnych, idzie przeciw wyimaginowanej przez pacyfistów Lidze Narodów. Nie znaczy to wcale, by fakt istnienia Ligi Narodów nie był momentem dodatnim; znaczy to natomiast, że nakładanie na nią obowiązków, których w obecnych warunkach psychiki międzynarodowej nie może ona wypełnić, jest rzeczą szkodliwą nie tylko dla samej instytucji, ale i dla poszczególnych jej członków. Areopag genewski (powtarzam: w obecnych warunkach) nie może być niczem innem, tylko tem czem jest: jednym z przejawów wielkiej gry sił międzynarodowych. Wiedzieć to muszą ci, co najbardziej lubują się we frazeologii.

IV

Pobieżny rozbiór zagadnień, związanych ze sprawą przebudowy Ligi w duchu nowoczesnych wymagań, daje pojęcie o ich rozpiętości i wadze. Rozumie się, że zadanie to najeżone jest trudnościami, które nie od razu mogą być usunięte i pokonane. A zatem — naogół nie należy spodziewać się jakiejś radykalnej reformy Ligi. Ponieważ nikt nie odważy się postawić oficjalnie wniosku o jej rozwiązanie, będzie ona dalej funkcjonować według dotychczasowego szablonu, choć może cokolwiek realniej. Najbliższym problematem, wobec którego stanie, jest sprawa powrotu Niemiec do Ligi i przedjednania Italji, która, urażona dopuszczeniem Negusa do obrad genewskich,

cofnęła się chwilowo z Genewy, rozwijając tem żywszą działalność poza obrębem Ligi. Sprawa powrotu Niemiec do Ligi stanowić będzie dla niej trudny orzech do zgryzienia: niedość jest wprowadzić Rzeszę nad Leman; trzeba będzie jeszcze znaleźć pewnego rodzaju *modus vivendi*, by przy równoczesnem przyjęciu Niemiec w poczet członków genewskiej instytucji nie zalegalizować temsamem polityki jednostronnych decyzyj jako najwłaściwszej formy regulowania spornych kwestyj międzynarodowych.

I tu pragnę zwrócić uwagę na pewien paradoks ligowego sposobu myślenia: chodzi o konflikt włosko - abisyński. Widzieliśmy, jak z genewskiej trybuny uznano Włochy za napastnika i jak puszczono w ruch kulejącą maszynę sankcyj. Rzeczywiście, mogło się wydawać, że osadzono napastnika na miejscu, gdyby... Otóż właśnie: gdyby nie rozmyślnie mglisty i przeczący sobie Pakt. Bo przecież Włochy, pozostając w Genewie na prawach równoprawnionego członka i bez jakiegokolwiek sprzeciwu ze strony Ligi, uzyskały przez to formalnie jej *placet* na fakt dokonany — na aneksję Abisynji. Zbytecznem byłoby udowadniać, że mimo wielkiej elokwencji gramatyków Ligi Narodów trzeba będzie również prawnie pogodzić się z faktem dokonanym — tembardziej, że sytuacja w Europie dozna znacznego odprężenia.

Ciemną plamę na tym obrazie stanowi uchwalony przez kongres Neutrality Act Prezydenta Roosevelta, którego wprowadzenie w życie doprowadzi do kompletnego przeorientowania polityki amerykańskiej, w pierwszej zaś linii — do faktycznego zerwania całego kontynentu amerykańskiego z Ligą Narodów. Obecny tekst tej ustawy oznacza wyraźnie, że państwo amerykańskie, któreby w wykonaniu obowiązku sankcyjnego było wciągnięte do wojny wspólnie z państwami europejskimi, nie może liczyć na pomoc Stanów Zjednoczonych. W praktyce politycznej ustęp ten stwarza premję dla tych państw łacińsko - amerykańskich, które z Ligą nie będą współdziałały. Pewne jest, że projekt ów siłą rzeczy doprowadzić musi do kompletnej izolacji kontynentu amerykańskiego pod hegemonją Stanów Zjednoczonych.

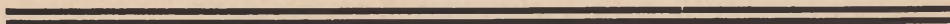
W całym szeregu państw amerykańskich z planem tym pogodzone się z radością (Guatemala, Columbja, Chile i Urugwaj); w prasie południowo-amerykańskiej mówi się nawet o Lidze Narodów Amerykańskich *). Jak ostatecznie rozstrzygnięta zostanie koncepcja amerykańskiej neutralności, przesądzić dziś jeszcze nie można. W każdym razie — samo wysunięcie ta-

*) W r. 1916 Alejandro Alvarez wystąpił z podobnym nieco projektem organizacji świata. Uwzględniając różnice poszczególnych kontynentów, przewidział rozwiązanie odmienne dla każdego z nich. W Europie równowagę polityczną zabezpieczyć miał system przymierzy koncyliacyjnych. I dopiero po odpowiedniem przygotowaniu gruntu miało nastąpić połączenie kontynentów w Międzynarodową Ligę Pokoju.

kiego planu smutne dla uniwersalności Ligi budzić musi refleksje. Nie należy jednak zapominać, że uformowanie się państw amerykańskich na podstawie projektu Roosevelta mogłoby uczynić zadość dwu sprzecznym tendencjom, nurtującym Ligę: prądowi, zmierzającemu do rozluźnienia więzów ligowych, jako warunku powszechności Ligi (względ na Stany Zjednoczone i Japonję), oraz prądowi, dążącemu do wzmocnienia tych więzów w odniesieniu do państw europejskich.

*

Perspektywy jutra? Perspektywy reformy Ligi Narodów? Próżne byłoby chcieć zgóry odpowiedzieć na to pytanie. Sprawa ta — to istna puszka Pandory: gdy się ją otworzy, niepodobna przewidzieć, co z niej wyskoczy. Jednakże wydaje się, że cokolwiek staćby się miało i gdyby nawet Liga miała być zniszczona przez kataklizm nowej wojny, tęsknota eubiotyczna za dogodniejszymi formami musiałaby odrodzić się w nowej, lepszej postaci. Idea Ligi jest zbyt wielka, by mogła być kiedykolwiek zaniechana przez ludzkość. Potrzeba etapów rozwoju. Fakt, że nadzieje nastania tego dnia, co to „wnijdzie, ale nigdy nie zajdzie“ zostały zawiedzione — nie dowodzi niemożliwości ich spełnienia, lecz tylko zbytnej gorączkowości, z jaką oczekiwano ich spełnienia. Pomiędzy ciemnem i grzesznem wczoraj a radosnem jutrem leży dzień dzisiejszy, obarczony jeszcze dziedzictwem wiekowych błędów.



STEFAN RYCHŁOWSKI

PROBLEM MELIORACJI POLESIA

I

Pragnąc ująć zagadnienie melioracji Polesia w sposób możliwie realny, przed przystąpieniem do właściwego tematu należy choćby najogólniej scharakteryzować teren Polesia w odniesieniu do jego warunków gospodarczych i ludnościowych, by zupełnie jasno móc sobie uświadomić możliwości i korzyści, jakie przez przeprowadzenie melioracji osiągnąć można.

Referat swój oparłem przeważnie na badaniach i studiach Polesia, prowadzonych przez b. Biuro Projektu Melioracji Polesia i ujętych zarówno w publikacjach biura, jak i w materiałach surowych, następnie na danych statystycznych Głównego Urzędu Statystycznego, wreszcie, w odniesieniu do struktury agrarnej województwa Poleskiego, na danych dostarczonych mi przez d-ra Grodzickiego, a zawartych w jego referacie „Struktura posiadania gruntów w wojew. Poleskim“, przygotowanym dla Komisji Badań Naukowych Ziemi Wschodnich.

Z góry zaznaczyć muszę, że cały szereg dat statystycznych nie będzie się ze sobą pokrywał, ze względu na objęcie przez poszczególne badania Polesia geograficznego w szerszym lub węższym zakresie, lub też na konieczność korzystania z materiału statystycznego, ułożonego w zależności od jednostek administracyjnych, nie pokrywających się z rejonami geograficznymi, czy też techniczno - melioracyjnymi. Z tych też względów referat posiadać będzie szereg luk i nie będzie mógł liczbowo, a więc dokładnie ująć szeregu cech charakterystycznych, a siłą faktu będzie musiał w wielu wypadkach poprzestać na opisowym ujęciu danych.

^{*)} Referat wygłoszony na I-szym Zjeździe Sprawozdawczo - Naukowym, poświęconym Ziemiom Wschodnim, w dniu 20 września 1936 r.

Dotychczasowe, nie zamknięte jeszcze i nie ujęte jeszcze definitywnie w mapy i przekroje, badania geologiczne Polesia które objęły około 5.400.000 ha, charakteryzują je, jako krainę, pokrytą utworami dyluwialnymi; — gliny morenowe, moreny czołowe, mady rzeczne, żwiry, muły, a zwłaszcza piaski i torfowiska składają się przeważnie na pokrywę geologiczną Polesia. Linia, biegnąca nieco na północ od Równego i Łucka, wzdłuż t. zw. krawędzi wołyńskiej, stanowi naturalną południową granicę Polesia. Ku południowi od niej leżą loessy, na północ od tej linii powłoka loessowa została zdarta prawie doszczętnie. Północny brzeg Polesia stanowi czerwona morena na krawędzi wyżyny Nowogródzkiej. Pod utworami dyluwialnymi zalegają pokłady trzeciorzędowe, nie tworząc jednak przeważnie odsłonień naturalnych. Spąg utworów trzeciorzędowych stanowi kreda, tworząc często podłoże gleb współczesnych, bądź nawet występując na powierzchni. Ze starszych formacji, w budowie geologicznej Polesia na uwagę zasługują: skały archaiczne w postaci skał krystalicznych, schodzące od krystalicznego masywu wołyńsko - ukraińskiego i zanurzające się na Polesiu pod utwory młodsze w postaci t. zw. wału scytyjskiego — oraz, niedawno stwierdzone na Polesiu, skały permskie i zalegające na wtórnym złożu, pokłady otoczków — krzemieni karbońskich.

Z kopalin użytecznych Polesia podkreślić należy przede wszystkim skały krystaliczne, stanowiące pierwszorzędny materiał budowlany i drogowy, głązy narzutowe w strefach morenowych, potężne pokłady kredowe, złoża kaolinów, glin i ilów, rudy darniowe, kredy jeziorowe, piaski glaukonitowe bogate w potas i inne. Wreszcie wykrycie skał karbońskich pozwala rokować pewne nadzieje na możliwość istnienia na Polesiu pokładów węglowych. Wspomnieć też należy o źródłach radioaktywnych i solankowych na południowym skraju Polesia.

Badania gleboznawcze, podobnie jak i geologiczne, objęły prócz całego niemal województwa Poleskiego, północną część wojew. Wołyńskiego i południowy skrawek wojew. Nowogródzkiego. Badania te prowadził Wydział Gleboznawczy Państwowego Instytutu Naukowego Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach.

Podział szczegółowy gleb przedstawia tablica Nr. 1. Zestawienie to wymaga pewnych wyjaśnień — w odniesieniu do gleb błotnych, których klasyfikacja i nomenklatura, opracowane przez d-ra Tomaszewskiego, są poniekąd nowością w naszym gleboznawstwie. Najlepsze z grupy gleb mułowych, mułowo - torfowych i torfowo - mineralnych — są gleby mułowe, b. bogate w żyzne namuły organiczne, następnie idą mułowo - torfowe, wreszcie torfowo - mineralne, które stanowią jakby człon pośredni między glebami mineralnymi i organicznymi. Jakość ich ściśle jest zależna zarów-

Tablica Nr. 1.

WOJEWÓDZTWO POLESKIE — PODZIAŁ SZCZEGÓŁOWY GLEB.

Ogólny obszar badany		5.434.927 ha:	
A. Gleby mineralne		3.359.491 ha	(61,8%)
B. Gleby błotne		2.026.103 ha	(37,3%)
C. Wody		49.333 ha	(0,9%)
		Ogółem	5.434.927 ha
A. Gleby mineralne:			
I. Gleby piaszczyste:	a) suche i średnio wilgotne	1.130.275 ha	(20,8%)
	b) podmokłe	1.262.251 ha	(23,2%)
		Razem	2.392.526 ha (44%)
II. Szczěrki, bielice, rędziny:	a) suche i średnio wilgotne	604.690 ha	(11,2%)
	b) podmokłe	257.429 ha	(4,7%)
		Razem	862.119 ha (15,9%)
III. Mady rzeczne:	a) suche i średnio wilgotne	25.335 ha	(0,4%)
	b) podmokłe	79.511 ha	(1,5%)
		Ogółem gleby mineralne	3.359.491 ha (61,8%)
B. Gleby błotne:			
I. Gleby mułowe		248.910 ha	(4,6%)
II. „ mułowo - torfowe		86.174 ha	(1,6%)
III. „ torfowo - mineralne		99.534 ha	(1,8%)
		Razem	434.617 ha (8%)
IV. „ torfowe	a) torfy dolinowe i olszynowe	1.591.486 ha	(29,3%)
	b) „ niskie	248.692 ha	(4,6%)
	c) „ przejściowe	926.519 ha	(17,0%)
	d) „ wysokie	233.732 ha	(4,3%)
	e) „ bagnowe	30.775 ha	(0,6%)
		151.778 ha	(2,8%)
		Ogółem gleby błotne	2.026.103 ha (37,3%)

no od jakości składnika mineralnego, jak i charakteru zatorfienia (niskie — turzycowe, czy wysokie — sfagnowe).

Gleby torfowe również podano w kolejności ich jakości: najlepszymi są najbogatsze z nich w składniki pokarmowe torfy dolinowe i olszynowe, następnie idą niskie (wszystkie te trzy typy należą właściwie łącznie do grupy torfów niskich), dalej przejściowe, wreszcie najuboższe — torfy wysokie i bagnowe. Torfowiska dolinowe, olszynowe i niskie oraz lepsze gatunki torfów przejściowych, gdzie torf składa się wyłącznie z turzyc, turzyc i mchów brunatnych, względnie gdzie (na torfowiskach przejściowych) warstwa torfu sfagnowego jest tak płytka, że nie może decydować o charakterze siedliska — po melioracji najzupełniej nadają się do użytkowania rolniczego (oczywiście przy zagospodarowaniu muszą być różnie traktowane). Torfy wysokie i bagnowe, chociaż do użytkowania rolniczego w naszych

warunkach się nie nadają, jednakże melioracja, polepszając ich warunki wodne, wstrzymuje ich wzrost i przekształcić je może w zupełnie dobre siedlisko dla lasu, bądź poprawiając warunki wzrostu istniejących drzewostanów, bądź umożliwiając zalesienie tych gruntów dotychczas najzupełniej bezużytecznych. Nie należy również pomijać faktu, że melioracje wstrzymują naturalną ekspansję torfowisk wysokich na sąsiednie grunty mineralne, powodującą wtórne ich zabagnienie, uniemożliwiające uprawę, bądź powodujące zasychanie drzewostanów. Jak wynika z badań gleboznawczych, melioracji wymagają wszystkie gleby błotne i gleby mineralne podmokłe, a więc łącznie 66,7% całego obszaru Polesia badanego t. j. 3.625.294 ha (1.599.191 ha gruntów mineralnych i 2.026.103 ha gleb błotnych).

Z pośród gleb błotnych melioracja jest w stanie przekształcić na nadające się do użytkowania rolniczego gleby mułowe, mułowo - torfowe, oraz torfy dolinowe, olszynowe, niskie i część przejściowych to jest łącznie około 1.710.000 ha (w tym torfów 1.374.386 ha) t. j. około 25% całości Polesia, a zgórz 84% wszystkich gleb błotnych Polesia. Około 217.000 ha torfów wysokich, bagnowych i gorszych przejściowych t. j. około 4% całego obszaru Polesia, nie nadając się do użytkowania rolniczego, dać może po melioracji niezłe tereny leśne. Z pośród gleb torfowo - mineralnych, część będzie mogła być przekształcona na użytki rolne, część zaś tylko pod las będzie się nadawać. Torfowiska poleskie badał prócz gleboznawców i prof. Kulczyński — botanik. Według jego opinii do użytkowania rolniczego nadawać się będzie — 26% całego obszaru Polesia, zaś nieprzydatne do kultury rolniczej torfy zajmują, jego zdaniem, około 4%, a więc mimo innych metod badania i innych kryteriów klasyfikacyjnych — daje on końcowe rezultaty prawie identyczne.

Efekt melioracji, a więc ogólne obniżenie poziomu wód gruntowych, oczywiście nie polepszy stanu suchych jałowych piasków i wydym, może natomiast przyczynić się do pogorszenia warunków w odniesieniu do gleb średnio - wilgotnych. Według zdania gleboznawców może to grozić około 160.000 ha, co jednak stanowi bardzo poważną pozycję, zważywszy, że i tak gleb suchych i wydym wyodrębniono na Polesiu ogółem 259.674 ha, a zalesienia wymaga zgórz 56.000 ha gleb suchych — bezleśnych.

Należy jednak zauważyć, że ogólna suma gruntów zagrożonych przesuszeniem obejmować będzie nie tylko piaski, ale wszelkie kategorie gleb mineralnych, zaliczanych obecnie do gleb średnio - wilgotnych, a więc i gleby średnie i mocniejsze i mady rzeczne, a więc te gleby, na których obniżenie poziomu wód gruntowych nie odbije się tak szkodliwie, jak na piaskach, — ze względu na ich strukturę, jak i położenie wysokościowe, a w stosunku do przestrzeni leśnych będzie zupełnie bez znaczenia. —

W ten sposób istotne pogorszenie warunków wodnych może mieć miejsce na znacznie mniejszym obszarze, niż to pozornie wynika z czysto teoretycznego założenia, a więc szkody ograniczą się do znacznie mniejszej skali. Ponadto przezorne przeprowadzenie melioracji umożliwi bardzo znaczne ograniczenie zasięgu terenów przesuszonych. Zadanie to będzie tym łatwiejsze, że, jak to stwierdził wybitny znawca torfów poleskich — prof. Kulczyński, torfy poleskie na linii kontaktowej z podłożem wytwarzają warstwę wybitnie słabo przepuszczalną i w ten sposób izolują się od gruntów mineralnych. Obniżenie drogą melioracji poziomu wód gruntowych na torfowiskach nie odbija się zatem w sposób decydujący na stosunkach wodnych otaczających je gleb mineralnych, — o ile przy kopaniu rowów warstwy nieprzepuszczalnej nie przebijemy.

Ze względu na fakt, że, jak to już wyżej podkreślono, obszary badań nie pokrywają się z podziałem administracyjnym, do którego dostosowane są dane statystyczne — dla zobrazowania stosunków rolnych wypadnie ograniczyć się do terenu wojew. Poleskiego, stanowiącego największą część Polesia geograficznego. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego wojew. Poleskie zajmuje obszar 3.542.883 ha, w tem: 22,8% gruntów ornych, 19,5% łąk, 10,4% pastwisk, 0,9% sadów i ogrodów (łącznie 53,6% użytków rolnych — tablica Nr. 2).

Największy % gruntów ornych ma pow. Brzeski, następnie kolejno idą: Prużański, Drohicki, Kobryński, Kamień Koszyrski, Piński, Kossowski, Stoliński, wreszcie najmniejszy % gruntów ornych jest w pow. Łuninieckim. Najbardziej lesisty jest pow. Łuniniecki, prawie na równi z nim utrzymuje się Kossowski — najmniej lasów jest w pow. Kobryńskim. Powiat Stoliński ma najwięcej nieużytków, najmniej Drohicki; pozostałe powiaty zajmują pozycje pośrednie. Oczywiście % nieużytków nie jest równoznaczny z % zabagnienia, ponieważ błota i grunty zabagnione wchodzą nietylko w skład nieużytków (łącznie z t. zw. w statystyce innymi gruntami), ale i stanowią bodaj czy nie dominujący składnik łąk i pastwisk oraz poważną część lasów, a grunty podmokłe są wśród wszystkich kategorii użytków. Ogółem, jak to już wyżej wspomniano, — melioracji wymaga 66,7% całego obszaru, badanego przez gleboznawców, a więc i dla wojew. Poleskiego % ten nie będzie zbyt odbiegał od 66%.

Co się tyczy zapasu ziemi na cele parcelacyjne, to sytuacja przedstawia się następująco. Obliczywszy wszystkie nadwyżki ponad 180 ha użytków rolnych z większych gospodarstw, zapas ziemi z lasów państwowych oraz wszystkie nieużytki większej własności, dr. Grodzicki otrzymuje sumę 806.877 ha, jako całkowity zapas ziemi. Wychodząc zaś z założenia, że upełnorolnienie ludności poza obszarem gminy będzie już kolonizacją, że zatem

WOJEWÓDZTWO POLESKIE — UŻYTKOWANIE GRUNTÓW.

Powiaty	Powierzchnia ogółem	Grunty orne		Łąki		Pastwiska		Sady i ogrody		Lasy		Inne grunty i nieużytki	
	ha	ha	% powierzchni ogóln.	ha	%	ha	%	ha	%	ha	%	ha	%
Brześć n/B	447,067	186,371	41,7	69,513	15,5	38,805	8,7	8,795	2,0	71,424	16,0	72,159	16,1
Drohiczyn	227,230	68,354	30,1	66,867	29,4	34,261	15,1	2,217	1,0	38,326	16,8	17,205	7,6
Kamień Koszyrski	309,208	69,603	22,5	62,919	20,3	37,602	12,2	5,300	1,7	73,666	23,8	60,118	19,5
Kobryń	348,961	100,920	28,9	84,168	24,1	54,707	15,7	3,790	1,1	35,494	10,2	69,882	20,0
Kossów	352,739	61,711	17,5	61,806	17,5	29,337	8,3	1,267	0,4	129,976	36,8	68,642	19,5
Łuniniec	550,205	45,472	8,3	91,754	16,7	54,160	9,9	1,787	0,3	210,993	38,3	146,039	26,5
Pińsk	535,624	113,494	21,2	117,558	21,9	51,604	9,6	3,681	0,7	157,425	29,4	91,862	17,2
Prużana	250,623	95,503	38,1	49,719	19,8	33,217	13,3	3,411	1,4	34,189	13,6	34,584	13,8
Stolin	521,222	66,880	12,8	85,071	16,3	34,577	6,7	2,490	0,5	161,664	31,0	17,540	32,7
Razem	3,522,879	808,208	22,8	685,275	19,5	36,827	10,4	32,738	0,9	913,157	25,8	731,031	20,6

rozrachunek między potrzebami miejscowymi a potrzebami kolonizacyjnymi należy przeprowadzić gminami — otrzymał, jako ostateczny zapas na potrzeby kolonizacji, łącznie z ewentualnie zmeliorowanymi nieużytkami — obszar 518.256 ha.

Mój obrachunek będzie nieco inny. Według danych d-ra Grodzickiego, na terenie wojew. Poleskiego większe gospodarstwa prywatne (których ilość i wielkość obrazuje tabl. Nr. 3) zajmują obszar 1.371.163 ha, w czym zaledwie 7% gruntów ornych, 0,2% sadów i ogrodów, 16,3% łąk, 7,1% pastwisk (a więc łącznie 30,6% tak zwanej ziemi użytkowanej rolniczo), 43,7% — lasów i 25,7% nieużytków i innych gruntów. Wniosek, jaki z tych liczb ogólnych wysnuć by można, nasuwałby się sam przez się, że zapas ziemi na cele parcelacyjne nie może być tak duży, jak to dotychczas przypuszczano, i że mógłby objąć głównie tereny zabagnione (nieużytki, łąki i pastwiska), natomiast ilość gruntów ornych jakie możnaby z tego źródła uzyskać — byłaby minimalna, gdyby nie możność powiększenia ich ilości drogą melioracji. Gdyby dla celów parcelacyjnych dało się wykorzystać wszystkie nieużytki, pastwiska i łąki większej własności, to dałoby to łącznie około 870.000 ha. Biorąc zaś pod uwagę, że do większej własności zaliczono tu wszystkie gospodarstwa powyżej 50 ha — i że nie wszystkie te grunty nadawać się będą do użytkowania rolnego — sumę tę wypadnie napewno znacznie zredukować.

Lasy państwowe na terenie wojew. Poleskiego zajmują około 277.000 ha, w czym roli około 2.000 ha, łąk około 27.000 ha i bagien około 56.000 ha.

Z materiałów Dra Grodzickiego

Tablica Nr. 3 i 4

WOJEWÓDZTWO POLESKIE —
WIĘKSZA WŁASNOŚĆ ZIEMSKA

WOJEWÓDZTWO POLESKIE —
DROBNA WŁASNOŚĆ ZIEMSKA

Wielkość gospodarstw w ha	Ilość gospodarstw	Obszar
50 — 100	714	47.055
100 — 200	245	34.308
200 — 500	215	68.682
500 — 1.000	112	79.093
1.000 — 2.000	87	119.094
2.000 — 5.000	71	222.204
5.000 — 10.000	28	187.502
powyżej 10.000	16	613.245
Razem	1.488	1.371.163

Wielkość gospodarstw w ha	Ilość gospodarstw	%
poniżej 1	8.250	4,0
1 — 3	42.651	20,6
3 — 5	48.489	23,4
5 — 7	34.475	16,6
7 — 10	32.093	15,5
10 — 15	22.277	10,7
15 — 20	9.516	4,6
20 — 30	6.643	3,2
30 — 50	2.932	1,4
Razem	207.326	100,0

Z tego więc źródła na cele parcelacyjne mogłyby odejść co najwyżej wszystkie łąki i bagna t. j. łącznie około 83.000 ha. Całkowity zatem rozporządzalny zapas ziemi — w najlepszym razie mógłby wynosić około 753.000 ha, a odrzucając 4% na suche piaski i wydmy orne, 4% — na torfy nie nadające się do użytkowania rolniczego (t. j. ten % jaki stanowią one dla całości Polesia) — co najwyżej 690.000 — do 700.000 ha — z czego na potrzeby kolonizacji wewnętrznej nie więcej niż 400.000 — 450.000 ha. Na potrzeby zatem ludności miejscowej odeszłoby około 250.000 ha, co jest najzupełniej zrozumiałe, jeśli uprzytomnimy sobie, że potrzeby te są istotnie b. duże, jak to zresztą wynika z zestawień odnoszących się do drobnej własności ziemskiej (tablica Nr. 4).

Z ogólnej ilości 207.326 gospodarstw drobnych, 44% stanowią gospodarstwa 1—5 ha; gospodarstw powyżej 10 ha jest tylko 19,9%, a powyżej 15 ha zaledwie 9,2%. Biorąc przy tym pod uwagę niską jakość gleb poleskich oraz stosunkowo mały % ziemi ornej w gospodarstwach drobnych (tablica Nr. 5) — stwierdzić należy, że gospodarstwa te wymagają wydat-

Z materiałów Dra Grodzickiego

Tablica Nr. 5

WOJEWÓDZTWO POLESKIE — DROBNE GOSPODARSTWA WIEJSKIE.
UŻYTKOWANIE GRUNTÓW

Wielkość gospodarstw w ha	Odsetek w stosunku do ogólnego obszaru gospodarstwa		
	ziemi ornej	łąk i pastwisk	innych gruntów
poniżej 1	60,7	32,2	7,1
1 — 3	56,8	36,2	7,0
3 — 5	54,6	37,7	7,7
5 — 7	53,2	38,1	8,7
7 — 10	51,8	38,0	10,2
10 — 15	47,4	39,1	13,5
15 — 20	43,8	39,7	16,5
20 — 30	39,3	41,3	19,4
30 — 50	33,3	42,4	24,3
Razem	48,3	38,9	12,8

nej pomocy zarówno w formie melioracji, jak i powiększenia ich stanu posiadania. Brak ziemi ornej jest charakterystyczną cechą Polesia, gdyż, wbrew wszelkim pozorom, zagęszczenie ludności rolniczej na Polesiu jest bardzo duże i nie ustępuje, a często przekracza zagęszczenie znacznie bogatszych okolic Polski. Oczywiście porównując bezwzględną gęstość zaludnienia ludności wiejskiej na km² powierzchni ogólnej, wojew. Poleskie traktować należy, jako wyjątkowo rzadko zaludnione, bo gęstość ta wynosi 26 osób na km² ogólnej powierzchni gmin wiejskich (w województwach wschodnich — 38, centralnych 66, zachodnich 65 i południowych 87).

Jeśli jednak brać pod uwagę zagęszczenie względne — w stosunku do gruntów ornych, to odpowiednie liczby wyniosą: dla wojew. Poleskiego — 121, dla województw wschodnich — 113, centralnych — 121, zachodnich — 113 i dla południowych — 173, a więc obraz przedstawia się nieco inaczej. Porównanie takie jest tembardziej celowe, że zaliczane do użytków rolnych łąki i pastwiska nie są na Polesiu pełnowartościowymi użytkami w tym rozumieniu, jak są nimi na zachodzie: są to przeważnie pól i ćwierć użytki, często prawie nieużytki lub zupełne nieużytki (kosi się np. łąki nie co roku, siano jest wogóle bardzo niskiej jakości, a pastwiskiem nazywa się wszystko to po czym było chodzi).

W poszczególnych rejonach zagęszczenie w stosunku do gruntów ornych jest wyjątkowo duże. Dla należytego zobrazowania tego zagadnienia pozwoliłem sobie w załączonym zestawieniu zastosować podział Polesia na dwie części: suchszą i bagienną, idąc w tym wypadku za pracami d-ra Grodzickiego („Próba regionalizacji geograficznej Polesia Polskiego“) i J. Bury („Ogólne wytyczne poprawy warunków rolnictwa na Polesiu“), wreszcie za tym podziałem, który przyjęto w Komisji Naukowych Badań Ziemi Wschodnich — przy opracowywaniu struktury agrarnej woj. Poleskiego.

Polesie suchsze, względnie Polesie rolnicze, jak je nazywa dr. Grodzicki, obejmuje północne części pow. Brzeskiego, Kobryńskiego, Drohickego, środkową część pow. Pińskiego i północną część pow. Kossowskiego oraz cały pow. Prużański; Polesie zaś bagienne, albo bagienno-leśne — pozostała część województwa. Właściwa linia podziału biegłaby Muchawcem, Kanałem Królewskim, Piną, Jasiołdą do Chomska, następnie w prostej mniej więcej linii na północ do toru kolejowego Brześć — Baranowicze i torem tym na wschód aż do granicy województwa. Ze względu jednak na ujęcie statystyki gminami, trzeba było wprowadzić zmiany, niezupełnie ściśle odpowiadające temu rozgraniczeniu.

Polesie rolnicze (30,7% obszaru wojew. — 1.870.028 ha) charakteryzuje się mniejszą znacznie ilością lasów (16,7%), gęstszym zaludnieniem bezwzględnym ludności wiejskiej (38 osób na 1 km² pow. ogólnej gmin wiejskich), jednak mniejszym względny (96 osób na 1 km² gruntów ornych), przewagą drobnej własności ziemskiej (na ogólną przestrzeń 1.087.028 ha — większa własność zajmuje tylko 222.805 ha) — z pośród wielkiej własności przeważają średnie majątki (na 534 majątki aż 446 nie przekracza 500 ha, a 199 majątków — 100 ha). Ta część Polesia posiada nieźle stosunkowo warunki komunikacyjne i większą ilość ośrodków handlowych, a przede wszystkim odznacza się większym % gruntów ornych (39%) i mniejszym nieużytków (12,3%).

Polesie bagienne — (69,3% obszaru województwa — 2.452.762 ha) to teren o charakterze leśno - błotnym (lasów 29,8%, nieużytków 24,4%), o niskim % gruntów ornych (14%), rzadko zaludnione (22 osoby ludności wiejskiej na 1 km² powierzchni ogólnej gmin wiejskich), lecz o znacznej gęstości względnej (148 ludności wiejskiej na 1 km² gruntów ornych), mało rozwiniętej sieci komunikacyjnej (brak dróg bitych), oraz stosunkowo małej ilości i to znacznie drobniejszych ośrodków handlowych. Większa własność jest tu silnie reprezentowana (na ogólną przestrzeń 2.452.762 ha —

Z materiałów G. U. S.

Tablica Nr. 6

WOJEWÓDZTWO POLESKIE — POWIERZCHNIA I ZALUDNIENIE

	Powierzchnia gmin wiejskich w km ²			% stosunek do ogólnej powierzchni		Liczba ludno- ści wiejskiej	Gęstość zaludnienia gmin wiejskich na 1 km ² w stosunku do		
	ogólna	użytki rolne	grunty orne	użyt. roln.	grunt. ornych		ogólnej powierz- chni	użytków rolnych	gruntów ornych
Polesie rolnicze:									
pow. brzeski . .	2339,3	1872,0	1379,4	80	58	99342	42	53	72
„ kobryński . .	1663,2	1260,4	653,2	75	39	61221	36	48	93
„ drohicki . .	2030,1	1488,5	649,5	73	31	88493	43	59	136
„ piński . .	1541,8	815,1	433,0	52	28	52322	33	64	120
„ kosowski . .	1109,0	553,4	364,5	49	32	28891	26	52	79
„ prużański . .	2547,2	1770,7	925,7	69	36	92674	36	52	100
Razem	11230,5	7760,1	4405,3	69	39	422943	38	55	96
Polesie bagienno- leśne:									
pow. brzeski . .	2247,5	1170,5	487,1	52	21	62632	27	53	130
„ kobryński . .	1873,6	1209,1	377,9	64	20	42849	22	35	113
„ drohicki . .	320,6	237,5	53,6	74	16	8389	26	35	156
„ piński . .	4063,6	2104,0	712,4	51	17	97346	23	46	136
„ kosowski . .	2452,4	982,9	258,4	40	10	47471	19	48	183
„ łuniniecki . .	5668,8	1984,3	462,4	33	8	99825	17	50	215
„ koszyrski . .	3243,3	1839,5	710,8	56	22	94663	29	52	131
„ stoliński . .	5303,5	1921,1	695,7	36	13	106434	20	55	152
Razem	25173,3	11448,9	3768,3	45	14	559609	22	48	148
Ogółem	^{x)} 36403,8	19209,0	8173,6	52	22	982552	26	51	120

*) Powierzchnia gmin wiejskich koliduje z powierzchnią woj. poleskiego, podaną w tekście. W tablicy powierzchnia podana z danych planimetrycznych; w tekście wg statystyki użytków.

większa własność zajmuje 1.148.858 ha). Oczywiście w obu okręgach występują rejony o odrębnych od otoczenia warunkach, bądź to w formie „ostrowów“, bądź lokalnych obszarów błotnych, jednak nie wpływają one decydująco na ogólny charakter okręgów w jakich leżą. Załączone zestawienie do podziału tego zostało dostosowane (tablica 6).

Z zestawień szczegółowych wynika, że na ogólną liczbę 79 gmin wiejskich woj. Poleskiego ponad 200 osób ludności wiejskiej na 1 km² gruntów ornych wykazuje 10 gmin, ponad 150 — 24 gminy, ponad 100 — 58 gmin. Największą gęstość względną w części bagiennej posiada pow. Łuniniecki, najmniejszą — bagienna południowa część pow. Kobryńskiego. W części rolniczej najgęściej jest w północnej części pow. Drohickiego, najmniejsze zagęszczenie ludności rolniczej ma północna część pow. Brzeskiego. Z porównawczych zestawień (tab. 6a) wynika, że bagienna część woj. Poleskiego ma zaludnienie gęstsze, i to często znacznie, na km² gruntów ornych niż pow. Mińsk Mazowiecki, Kutno, Kalisz, Łask, Radomsko, Miechów, Opoczno, Opatów, Ostrołęka, Włodawa, Radzyń, Zdołbunów, Dubno, — suchsza rolnicza część gęstsze niż Grójec, Maków, Rawa, Grodno, Wysokie Mazowieckie, Szczuczyn, Biała - Podlaska, Siedlce.

Jeśli ponadto wziąć pod uwagę przewagę lekkich gleb piaszczystych na Polesiu (44% całego obszaru), a ca za tem idzie niższą ich wydajność, nie znany, choć z całą pewnością nie mały % roli nie co roku obsiewanej, choć zaliczanej w statystyce do gruntów ornych — przyjść należy do przekonania, że Polesie jest wyraźnie przeludnione rolniczo. Z tego też przede wszystkim punktu widzenia melioracje, podnoszące produktywność zabagnionych i podmokłych gleb, powiększające ilość gruntów ornych i wprowadzające do życia gospodarczego nowe tereny, dotychczas niejako martwe gospodarczo, są dla Polesia poprostu koniecznością życiową, choćby tylko dla umożliwienia bytowania miejscowej ludności. Paradoksalną jest taka sytuacja, przy której wojew. Poleskie, mając nominalnie tak wielkie obszary łąk i pastwisk, a więc będąc jakby przez samą naturę predestynowane do hodowli, posiada zaledwie 9 koni, 27 sztuk bydła, 18 sztuk trzody chlewnej i 21 owiec na 100 ha powierzchni gruntów użytkowanych rolniczo. Porównanie z innymi województwami obrazuje załączone zestawienie (tablica Nr. 7).

Jak z niego widać, woj. Poleskie posiada stosunkowo najmniej koni w porównaniu z innymi, mniej bydła znajdujemy tylko w wojew. Wileńskim, trzody chlewnej mniej w woj. Krakowskim, Lwowskim i Stanisławowskim, a jedynie ilości owiec na Polesiu są wyjątkowo duże, gdyż więcej stosunkowo mają tylko woj. Wileńskie i Nowogródzkie. Ta ostatnia okoliczność nie świadczy jednak o wyjątkowo wysokim poziomie tej gałęzi ho-

dowli, ani o specjalnej przydatności terenu w dzisiejszym jego stanie, raczej o pierwotnych warunkach bytowania ludności, dążącej do zaspokojenia i tej elementarnej swej potrzeby — odzieży — własnym przemysłem, bez wydatków pieniężnych. Mała stosunkowo ilość inwentarza powodowana jest niewątpliwie niskim poziomem kultury rolniczej, główną jednak

Z materiałów G. U. S.

Tablica Nr. 6a

WZGLĘDNE ZAGĘSZCZENIE LUDNOŚCI WIEJSKIEJ.

W o j e w ó d z t w o	P o w i a t	Gęstość zaludnienia na 1 km ² w stosunku do		
		ogólnej powierzchni	użytków rolnych	gruntów ornych
Warszawskie	Grójec	63	76	87
	Maków	48	71	95
	Mińsk Mazowiecki . .	74	100	124
	Rawa	60	82	93
	Kutno	81	92	100
Łódzkie	Kalisz	90	119	143
	Łask	86	120	146
	Radomsko	76	111	146
	Wieluń	91	141	180
Kieleckie	Miechów	104	124	137
	Olkusz	101	161	178
	Opoczno	69	103	128
	Opatów	93	128	142
Białostockie	Grodno	33	58	78
	Ostrołęka	44	75	118
	Wysokie Mazowieckie	51	64	84
	Szczuczyn	36	53	89
Lubelskie	Biała	45	61	88
	Włodawa	40	57	105
	Siedlce	55	68	91
	Radzyń	50	67	99
	Puławy	95	141	171
	Lublin	86	104	115
Wileńskie	Brasław	33	55	92
	Święciany	31	52	85
	Mołodeczno	43	58	91
Nowogródzkie . . .	Baranowicze	40	63	98
	Nieśwież	52	70	97
	Słonim	36	60	84
	Lida	38	54	91
Wołyńskie	Zdołbunów	71	99	121
	Dubno	64	87	105
	Horochów	63	81	96

Z materiałów G. U. S. (r. 1935)

Tablica Nr. 7

ILOŚĆ ŻYWEGO INWENTARZA NA 100 HA UŻYTKÓW ROLNYCH
(wg stanu na dz. 30.VI.1935 r.)

Województwo	Konie	Bydło	Trzoda chlewna	Owce
Poleskie	9,0	27,4	18,5	21,5
Warszawskie	14,8	39,3	30,5	2,6
Łódzkie	15,8	44,5	30,1	3,5
Kieleckie	15,3	43,9	21,9	3,0
Lubelskie	16,6	37,5	36,5	4,2
Białostockie	14,7	30,6	26,5	18,8
Wileńskie	11,2	26,3	19,5	28,9
Nowogródzkie	12,8	31,3	27,1	26,6
Wołyńskie	16,9	32,3	26,8	8,4
Poznańskie	14,0	39,7	41,9	7,3
Pomorskie	14,2	37,5	39,2	13,9
Śląskie	13,5	52,5	35,8	2,0
Krakowskie	12,3	61,9	16,9	5,5
Lwowskie	17,4	49,3	13,7	4,6
Stanisławowskie	14,0	40,8	14,6	16,1
Tarnopolskie	18,8	35,7	20,6	5,9

przyczyną jest, mimo rozległości użytków zielonych, mała ilość paszy i niska jakość siana, jako bezpośredni wynik złej jakości terenów produkujących — co przede wszystkim melioracje, a następnie racjonalne zagospodarowanie zmeliorowanych terenów usunąć i poprawić mogą.

(Dokończenie nastąpi)

JAN ZBINDEN

TECHNIKA I ODRÓDZENIE SZTUKI

Artysta jako badacz. Nowe cele twórczości artystycznej. W jaki sposób technika może się przyczynić do ich urzeczywistnienia. Sztuka kształtowania ludzkości i nowa świadomość ludzkości. Technika na usługach żróżniczkowanego badania ludów. Lot fantazji.

1

Technika zdolna jest okazać niezmierną pomoc sztuce pogłębianej, tkwiącej korzeniami w naturze, a zarazem ją zmieniającej. Przejawy tego są różnorodne — już chociażby w prostych zamierzeniach artystycznych. Malarz, który chciałby oddać piękno żdźbła trawy czy baldaszka kwiatu, i to co najcenniejszego jest w duszy przelać w stworzoną przez siebie formę, nie tylko będzie się starał w tysiącach prawdziwych żdźbeł i kwiatów uchwycić istotne ich cechy, lecz w niezliczonych obrazach innych dobrych malarzy będzie się doszukiwał ukrytych dla niego cech niedostępnych mu form, będzie się starał poznać w naturze i wiernem odtworzeniu różnorodne indywidualne kształty jednego i tego samego rodzaju roślin. Przy pomocy powiększających instrumentów optycznych będzie przyglądał się cudownie delikatnym twórcom, będzie dociekał praw wzrostu, pozna mowę kształtu; zarazem zgłębi wpływ wiatru i ciepła, światła i wilgoci. Będzie musiał ciągle nanowo patrzeć na zmieniające się obrazy, by dostrzec w nich nieporównane piękno i potęgę wyrazu rośliny kielkującej, rozwijającej się i umierającej, zanim wreszcie naprawdę uda mu się tak oddać choć jeden kwiat, jedno skromne żdźbło, jakby zostały stworzone przez wyższą, uduchowioną siłę natury.

Wszystko co może służyć mu pomocą przy zgłębianiu natury: obrazy, filmy, fotografie, podróże i badania biologiczne, — wszystko przyjmie

z wdzięcznością. Gdy kto pozna, czego mu potrzeba dla artystycznego opanowania bodaj najprostszej rzeczy, odporny będzie na ślepą pogardę niektórych artystów dla techniki: wszak bez pomocy techniki nie zdołałby się uporać nawet z częścią swego zadania. Nie grozi mu także, by jakimś tworowi natury — czy będzie to kwiat, czy twarz człowieka — zadał gwałt, odtwarzając go w rozlanych, pozbawionych charakteru bohomazach.

2

Im wyższa jest twórczość artystyczna, im obficiej wyposażona w bogactwo motywów i treści, tem nieodzowniejsze stają się dla niej powszechne środki, stworzone przez badanie i wynalazek (nawet te, które nie dotyczą bezpośrednio danego zawodu). Ten nierozzerwalny związek techniki ze sztuką nigdzie nie występuje tak wyraźnie, jak w zadaniach najwyższych, które Wszechideał ukazuje artystycznym zamierzeniom: przedstawić górujące nad epoką postaci twórców przez scharakteryzowanie zarówno ich indywidualnego duchowego rozwoju, jak ich dzieła. Jest to zadanie, które niesie w sobie odrodzenie sił, jakiego nigdy dotąd nie znały poezja, plastyka i muzyka. Wśród wszystkich zjawisk na ziemi niema przecież żadnego, któreby pod względem pełni motywów, możliwości odcieni, bogactwa kombinacji stały tak wysoko, jak właśnie praca duchowa — powstawanie nowych myśli i wizyj w duszy genialnego człowieka. Naturalnie, że spełnienie takiego zadania zakłada wielostronność duchowych przeżyć charakteryzującego i mistrzostwo w indywidualnem charakteryzowaniu zdarzeń wznioślejszych; zachodzi to jednak rzadko. Porwać się na to zadanie i skutecznie je będzie mógł tylko ten, kto w równej mierze jako człowiek i jako artysta wyprzedził swoją epokę.

Z dawiendawna w mitach, legendach, podaniach o bohaterach narody usiłowały przedstawić potężne, wybitne jednostki i odmalować w mitach o wszechświecie stwarzanie go, powstawanie nowych światów i nowych dzieł. Lecz są to dziecinne próby intuicyjnego ich ujęcia w obrazach pracy ludzkiej i boskiej. To schematyczne przedstawienie faktów zazwyczaj zewnętrznych nie daje nawet w najmniejszej mierze możności przeniknięcia bardziej ukrytych psychicznych procesów wielkiego twórcy: kiełkowania nowych celów, tęsknot, chęci ich zrealizowania. Jeśli dotąd niejednokrotnie stawiano sobie za cel artystyczny przedstawianie zmyślonych genialnych postaci (lecz nigdy tego nie dokonano), przyczyna tego nie tkwi jedynie w małym zainteresowaniu psychologizmem dla wewnętrznych związków pracy twórczej; jest to również uwarunkowane brakiem sposobności do wystarczających i wielostronnych studjów nad cechami rozwoju duchowego jednostki wyjątkowej. Dziedzina psychologii twórczości ducho-

wej leżała prawie niezbadana. Bez dokładnego, wszechstronnego zbadania rysów genialnej twórczości, jej fizjognomicznego wyrazu, jej najgłębszych korzeni i splotów z życiem ogólnem, bez tego wszystkiego niemożliwe było wymyślenie postaci twórcy wiernej życiowo, wyrosłej z natury. Conajwyżej, mogły powstać tylko literackie autoportrety wielkich ludzi; gdzie usiłowano osiągnąć coś więcej, dawano nieuniknienie karykaturalne, martwe płody fantazji. Tylko ten będzie w stanie dać nam nowe, wymyślone charaktery twórców — i to z taką prawdą życia, że ich los i postać zawsze działać będzie, jak los i postać wielkiego człowieka — kto żył naprawdę, kto głęboko zna istotne cechy pionierskiej pracy w sztuce i nauce i kształtowania społecznego życia, nie tylko z własnych przeżyć, lecz z bogatszych obserwacji licznych twórczych osobowości o przeróżnych dążnościach, różnych epok, kultur; ten tylko zdoła dać je, kto obserwował twórczą pracę na różnych stopniach różnego duchowego rozwoju.

Bez różnorodnych środków pomocniczych, które nam ofiarowuje technika już w swym dzisiejszym stanie, przygotowanie i wykonanie tego zadania, które wieńczy panidealistyczne zamierzenia artystyczne, byłoby zaledwie możliwe, lecz w sposób wielce niewystarczający. Znajomość różnych stopni twórczości różnych czasów, ludów i kultur, dzięki licznym sposobom reprodukowania, stała się dziś możliwa w pewnym zakresie, który pozwala na niezmiernie rozszerzenie doświadczenia bezpośredniego. Stąd napływają artyście znamiona najróżnorodniejszych typów: typów pracy i stopni doskonałości. W porównaniu z zadaniami i możliwościami, jakie się tu następują, potęga środków technicznych jest dotychczas niewykorzystana (mimo wielu prób). Lecz technika umożliwia zgłębienie nie tylko duchowych związków między ludźmi w sposób o wiele mniej mozolny, niż to było możliwe w poprzedniej epoce, lecz również zjawisk natury, które intymnie są związane z każdą pracą ludzką i przede wszystkim wyciskają swe piętno na twórczości geniusza. Odrębność przeróżnych krajobrazów, świat roślin, zwierząt, gwiazdy i przestrzenie niebieskie, — wszystkie te zjawiska, które szczególnie głębokie działanie wywierają na dusze ludzi niezwykle i na ich pracę świadomą i podświadomą, staną się dzięki rysunkowi i drukowi coraz dostępnejsze. Dźwięki dalekich krajów i szczepów, nigdy nie słyszane śpiewy i pieśni, głosy poważnych osobistości, — wszystkiemu temu płyta dźwiękowa pozwala przeniknąć do cichej pracowni artysty. Twory współczesnego ducha wynalazku rozszerzają bezustannie krąg przeżyć i bezpośrednich doświadczeń, wzbogacają je nowymi nastrojami, przecuciami, zapachami i widokami innych części ziemi, innych stref. Co dawniej zachowane było dla wybranych, dzisiaj dostępne jest nawet dla najuboższych: podróże w obce kraje, zapoznanie się z oryginałami dzieł wielkiej

sztuki, wnikanie w życie obcych narodów. Z tego strumienia rzeczy widzialnych, które genjusze techniki pomagają przenieść do duszy twórcy, powstają przemiany w najgłębszej prawie - świadomości (*Kaumbewusstsein*) obrazy i wizje przyszłości.

3

Najwyższy rozwój i najszersza synteza techniki i kultury duchowej odbywa się nie w dziedzinach dotąd uprawianej sztuki, wyrażającej się w słowie i barwie, kamieniu i dźwięku: urzeczywistni się ona w służbie nowej, kształtującej społeczeństwa sztuce, która wszystkie siły ludzkości łączy w coraz większym stopniu we wszystko ogarniającą twórczość, w dążeniu wszechideału do *sztuki ludzkości*. Sama ludzkość w żywym, wciąż zmieniającym się bogactwie stopni i kierunków będzie tu najdoskonalszym, najpodatniejszym na odrodzenie materiałem dla społeczno-artystycznej twórczości, skierowanej ku doskonalszemu zorganizowaniu i uduchowieniu grup ludzkich. Ludzkość — dziś twór zaledwie uporządkowany, duchowo chaotyczny, rozdarty na wrogie grupy narodowe, gospodarcze, kontynentalne, wyznaniowe — niesie jednak sama w sobie zarodki harmonijniejszego ukształtowania. Za panowania dzikiego instynktu przemocy odważały się one wynurzyć, nieśmiało wprowadzić i tylko wewnątrz mniejszych grup; lub czasem w poszczególnym narodzie udawała się bardziej duchowa organizacja, zdarzało się kierownictwo jej sprzyjające. — Najczęściej jednak na okres krótki.

Świadczą o tem skutki, przyczynami sięgające do Amenofisa IV, Kong Tse, Św. Benedykta, twórcy istoty średniowiecznych zakonów. Mimo niedostatecznych i względnie ograniczonych wpływów na ogół, są to jednak zwiaśtuny tego, co kiedyś rozwinie się i rozwinąć musi dla dobra wszystkich ludów w artystycznej pracy ludzkości. „Nigdy nie istniała sztuka, któraby z jednakową znajomością celu i środków i podobnie określonym zamiarem jak plastyka szła ku artystycznemu odrodzeniu kultury... Praca, kształtująca kulturę, musi być podniesiona do świadomej celu sztuki ludzkości, jeśli z tej chaotycznej mieszaniny ma wyjść zgoda, która obejmie wszystkie grupy na całej ziemi, godna harmonji sfer, o której marzyli mędrcy“... „Ponieważ sztuka ludzkości, jak każda twórczość artystyczna, będzie skierowana na duchowo stopniujące rozróżniczkowanie materiału zmiennego, a temsamem na poparcie duchowo stopniujące jednostki i grup — przeto powoli musi powstać ludzkość, w której zarówno dzikie, surowe zwierzęce instynkty, jak i tępa niwelacja nie będą miały miejsca. Powstanie ludzkość, w której różnice między grupami i jednostką pochodzić będą głównie z różnic duchowych predyspozycji i rozwoju i posłużą tylko do oceny społecznego porządku. Demonizm grup narodowych, ociekających krwią, despotyzm stanów

coraz bardziej cofać się będzie przed narodami ducha, w których zbawcze siły ludzkości przybiorą przeróżne indywidualne formy kształcenia społeczeństwa... Wtedy dopiero nakaz sumienia panidealistycznego, głoszący uwzględnienie w wychowaniu różnic dyspozycyj i rozwoju, będzie w zgodzie z wizjami ludzkości twórców kultury“ (*Wszechideał*, I, str. 420).

W tej wizji dalekiej przyszłości doba obecna zdoła dostrzec drogowskazy dla społecznych zmagania i twórczości. Same racjonalne argumenty i logiczne dowody nigdy nie były zdolne wytepić nienawiści grupowej i nacjonalizmu, tkwiących głęboko w pokładach prawie-świadomości (*Kaumbewusstsein*). Potrzeba na to poruszającej fantazję, wstrząsającej najgłębszym uczuciem wizji nowej ludzkości. Potrzeba przemawiającego do wyobraźni obrazu form społecznych, do których urzeczywistnienia są powołane wszystkie siły: artystyczne narówni ze społecznymi, religijne z naukowymi i praktyczne, które dzięki harmonii, doskonałości i głębokości uczucia będą musiały mieć siłę usunięcia w cień wszystkich bożyszcz grupowych. Cel ten musi się stać żywy — nie tylko jako koncepcja etycznie racjonalna, lecz również jako koncepcja artystyczna, jeśli ma on wzbudzić w ludziach zapal i pchnąć ich do urzeczywistnienia. Międzynarodowe czucie i zamierzenia muszą pogłębić się do dążeń artystycznych ludzkości, jeśli bezmyślne srożenie się wszystkich przeciw wszystkim, ciasnota zakrzepłego w dogmacie patryjotyzmu ma być przezwyciężona przez syntezę serdecznego związania z ojczyzną, której nie określają sztuczne granice polityczne, z przenikającą i kierującą każdym czynem miłością ludzkości.

Właśnie technika pozwala nam poznać wnikliwiej organiczną logiczność i niezbędność tej drogi. Ona to przestąpiła granice, obaliła przesady natury historycznej, geograficznej, narodowej; ona obdziela swymi zdobyczami wszystkie narody i toruje tym sposobem drogę artystycznemu działaniu ludzkości. Podczas gdy romantycy zgrzybiałego nacjonalizmu i klasowego szowinizmu ustawicznie szukają ratunku w ciasnym duchu grupowym, natura sama oddawna wkroczyła na nowe drogi społecznego i technicznego urzeczywistnienia. Bardzo sprzeczny z życiem wydaje się fakt, że w czasie łączącej wszystkie ludy świata komunikacji kolejowej, powietrznej i wodnej, w wieku elektryczności, nauki z szybkością wiatru wszędzie przenikającej, marzy się ciągle jeszcze o narodowej niezależności, narodowej kulturze, bądź o kontynentalnym ideale. Skoro już w przeszłości wielkie kultury obejmowały w sobie liczne rasy i ludy, kultura przyszłości może być tylko międzynarodową, ludzką, artystycznie rozczłonkowaną organizacją duchowo nacechowanych grup i społeczeństw, opierającą się na wielostronnej i zróżnicowanej wiedzy o ludziach. W organizacji tej ludzie wszystkich narodów i ras w zażyłej współpracy wszystko co mają najlepszego i najszlachetniejszego rozwina

w sposób doskonalszy, niż to było możliwe wśród ciasnych, niwelujących pojęć nacjonalistycznych.

Jest to cel, który nie da się urzeczywistnić bez zastosowania wysoce rozwiniętej techniki. Tylko ludzie w daleko mniejszym stopniu niż dziś obciążeni mechaniczną pracą poczują w sobie budzące się pragnienie uduchowienia ich życia i z tęsknoty tej uczynią powoli główną treść życia. Ludzie nadmiernie uciemnieni bezdusznymi czynnościami, przybici biedą i troską, nie są glebą, która zrodzi cele duchowe; im szczuplejsze są w nich predyspozycje do duchowych zamierzeń, tem mniejsze są ich możliwości w tym kierunku. Właśnie tych ludzi wyzwoli maszyna, skrócony czas pracy i wychowanie, które uczyni ich zdolnymi do owocnego wykorzystania wolnego czasu, ujęcia perspektyw w pracy artystycznej ludzkości, a w duszy zasieje im cel potężny i świetlany.

Przedewszystkiem zaś znajomość różniczkowania innych grup i ludów będzie musiała stać się dostępniejsza niż dotychczas — zarówno dla przywódców, jak i dla szerszych mas. Gdzie będzie rozpowszechniona znajomość innych kultur, narodowości, ras, tam nie powinna dojść do głosu przeciętność, czy duchowa pośledniość (często z pozornie demokratycznych dążeń, by ukazać to, co jest wszystkim wspólne; lecz przecież na stokroć większą uwagę zasługuje właśnie to, co wyjątkowe, górujące i najwartościowsze). Dzięki nowoczesnym środkom reprodukcji obrazów, dzięki komunikacji — dziś właśnie olbrzymia liczba ludzi bierze udział w wydarzeniach prawie wszystkich ludów świata. Bezustannie podaje się ludziom przez prasę i radio wiadomości o doniosłych splotach wydarzeń światowych. Jednocześnie wzrasta znajomość obcych krajów i kultur, których obraz, film, druk i słowo przenikają do zapadłych kątów, łączą je ze światem, budzą zainteresowanie, a także powoli i zrozumienie obcej odrębności. Choćby te doświadczenia i wrażenia tą drogą zdobyte były jednostronne, choćby nawet wprowadzały w błąd i pobudzały do krytyki — pomagają one do uświadomienia sobie pojęcia ludzkości. Tak więc: maszyna i motor, energia elektryczna i drukarstwo przyczyniły się może więcej do pocucia wspólnej przynależności, niż kazania o braterstwie ludów. Co przez setki lat kształtowało się w głębi świadomości, co tylko nieliczne jednostki przewidywały — dzisiaj występuje na powierzchnię świadomości szerszych mas, jako coraz żywsze, niestłumione uczucie humanitaryzmu, jako coraz wyraźniejsze przeczucie tego, co oznacza ludzkość jako organizm.

Środki i możliwości, których technika używa rozwijając to uczucie, są stosowane dziś prawie bez świadomości celu, gdyż tylko przypadkowo zbiegło się to z rozpowszechnieniem materiału, nad którego dobozem nikt nie myślał; wystarczy przeczytać zwykle wiadomości prasy europejskiej o Ame-

ryce Północnej: najczęściej miejsca zajmują doniesienia o ściganiu przestępców, porywaniu dzieci, buntach w domach poprawczych, zwycięstwach bokserów i bohaterów footballu. Przytem — nieco wiadomości politycznych i finansowych. Tu i ówdzie skandaliczne wiadomości z życia literatów i wielkości filmowych, jako rzut oka na „duchową Amerykę“. Czego czytelnik dowiaduje się o duchowym życiu i zamierzeniach tych, których dorobek potomność nazywa „kulturą“ danego czasu? Co wie o zmaganiu się najlepszych ludzi, o ich poszukiwaniach nowych dróg dla swego narodu? Nikt nie może twierdzić, że zorjentowanie w tych sprawach nie należy do czasopism i książek. Im bardziej prasa codzienna staje się główną lekturą wielu ludzi, tem ważniejsze jest, by zaznajamiała ona również z wydarzeniami obcego kraju w przekroju, któryby pozwolił na wyrobienie sobie obiektywniejszego pojęcia, niż na to pozwala dzisiaj podział miejsca i materiału w większości gazet. Wszak wyobrażenie, które sobie większość wyrabia o innym kraju, zależy od tego, jakie poznaje jego dzieła i czyny.

Dziś już liczne filmy pozwalają nam zapoznać się ze światem i kulturą innych narodów: jest to bezsprzecznie szczęśliwym początkiem oddania tego instrumentu, dotąd tak niegodnie nadużywanego, na usługi celom produktywnym. Lecz i tu również całkowita owocność pracy da się uzyskać tylko przy subtelniej różniczkującej obserwacji, przy głębiej ujętym wyborze fotografowanych obiektów. Musi istnieć tu nastawienie, które nawet wśród najprymitywniejszych szczepów zwróci uwagę na różnice predyspozycji, zdolności, a przede wszystkim szczególnie upodoba sobie ludzi niezwykłych, twórczych, których charakter, twarz, pracę utrwali w istotnie charakterystycznych, nie zaś pół-przypadkowych obrazach. Wprawdzie takie filmy wymagają często długoletniego współżycia z daną grupą ludową i nie mogą być zrobione podczas niewielu tygodni czy miesięcy, niejednokrotnie natychmiast po przybyciu. Te cudowne instrumenty, któremi nas obdarzył duch wynalazku, często wpadają w ręce ludzi, będących pod urokiem ordynarnej sensacji i teatralno-krzyczących efektów, a zbyt rzadko służą oku troskliwego miłośnika, który niezmordowanie zwraca uwagę na indywidualne odchylenia, na wielką ilość stopni i form na jakimś odcinku życia. Lecz właśnie tylko taki obserwator może przeniknąć obcą odrębność bądź to widoków, bądź roślin, czy zwierząt i grup etnicznych. Zawsze będą to dodatnie wyjątki, w których ze szczególną siłą i w szczególny sposób przejawiają się cechy często całego ludu, całej jakiejś kultury. Przedstawianie mało znanych krajów i ludów, przedsiębrane bez specjalnego wyboru, w powierzchownych celach reporterskich, utrwalanie na fotografii i filmie głównie przeciętniejszych lub nawet przeważnie surowych typów i zdarzeń (podobnie jak przedstawianie w antropologii przeciętniejszych zjawisk obcych ludów) — sprzy-

ja raczej skłonności do niwelowania i kosmopolityzmu, niż zmysłowi subtelnego różniczkowania. Gdzie jako główne wrażenie pozostaje ustawiczne poczucie niemal jednakowości wszystkiego, lub uczucie krańcowych kontrastów (osiągniętych przy pomocy sztucznej przesady) — tam wierny naturze obiektywny obraz bogato ustopniowanego rozwoju ludzkości nie może zakorzenić się w ludzkiej wyobraźni.

4

Ideał artystyczny ludzkości — najwyższa ziemską treść panidealistycznego dążenia, żąda nierównie subtelniejszego i troskliwszego zastosowania technicznych możliwości, oraz bezustannego wzbogacania środków dla coraz szerszej orjentacji i zmiany ludzi pod względem wychowawczym w sensie sumienia indywidualizującego. Zakres wyobrażeń dzisiejszego człowieka już rozszerzył się do tego stopnia, że w średniowieczu byłby czymś niepojętem. Jakże mały był świat Homera, Dantego, Michała Anioła, czy Rembrandta w stosunku do dzisiejszego obiektywnego świata doświadczeń zewnętrznych! Lecz już z tej względnie skromnej skarbnicy obserwacji i wrażeń religijna fantazja tych twórców zdołała wysnuć nieprzebrane widzenia. Wizje *Boskiej komedji* świadczą o wspaniałej sile, która ze zdobytych w doświadczeniu elementów stworzyła cudowne, nowe krajobrazy; podobnie w obrazach Leonarda wrażenia z licznych podróży zostały przekształcone na coś organicznie nowego. Co za materiał, jaki impuls, jakie wzbogacenie twórczości może dziś dać genialnemu artyście to, na czym zbywało dawnym twórcom: dostęp do obcych kultur i krajów. Przed fantazją otwarły się bezkresne perspektywy: wieści o krajach i morzach całej ziemi, o olbrzymich górach, puszczach bezbrzeżnych, rzut oka zarówno na mikroskopijne światy komórek, jak wizje niezmierzonych odległości gwiazd; wszystko to, bodaj więcej niż dotychczasowe wychowanie, przygotowało do myśli i wizji przyszłego świata. Holzapfel, jeden z niewielu artystów naszych czasów, dzięki obrazom i opisom zatapiał się nieustannie w obce krajobrazy, zgłębiał obce rasy, formy roślin, postaci zwierząt, doskonalił i odświeżając doświadczenia swego tułaczego życia. Otaczały go w pracowni fotografie dalekich krajobrazów, kora egzotycznych drzew i obrazy rodzimej flory, odrębne minerały, motyle południowych krajów i muszle z odległych wybrzeży i epok. Wszystko to, sprowadzone przy pomocy nowoczesnej komunikacji, wносиło obrazy, dźwięki, zapachy dalekich stref, ich kolory i blaski w wewnętrzny świat jego twórczości i w zmienionej, nowej postaci służyć miały poetyckiej wizji przyszłych kultur i nowych krajobrazów ¹⁾.

¹⁾ Porównaj: **Pracownia R. M. Holzapfla** w dziele zbiorowym „Twórca przyszłości. Z życia i dzieła R. M. Holzapfla“. Monachjum, nakład Hirtha, 1932.

Chcieć wtłoczyć ludzi w ciasne formy dawniejszego życia, z horyzontu prymitywnych czasów uczynić ideał — to nietylko całkowite zapoznanie rozwoju kulturalno - historycznego; jest to również gwałt, pętający ducha ludzkiego, który w zmaganiach pełnych męki i lęku usiłuje się powoli wyzwolić ze zbutwiałej powłoki i gotuje się do lotu w nowe królestwa widzeń i przeczuć. Energja techniki i energja duszy wypływają z pozornie obcych sobie źródeł, lecz zlane w organiczną całość, dorastają do spełnienia swych szczególnych zadań, których cel jest coraz wyższy. Im dalej sięgają, tem wspanialej rozszerza się ich królestwo, tem cudowniej ukazuje się zlanie ich najczystszych energii. Duch wynalazku i badań, dociekań i opanowania istniejącej rzeczywistości zmysłowo uchwytniej przerywa nieustannie ciasne tamy grupowego myślenia i z każdym odkryciem, z każdym nowym wynalazkiem ustala trwale wspólne interesy narodów, spaja nierozdzielnie ich losy, niosąc im ochronę, szczęście i udoskonalenie. Lecz jeszcze namiętniejsza wywiązuje się walka z przemocą grupowych potęg i duchowem spłyceniem; wołanie, by ochronić siły twórcze człowieka, wyrывa się z najgłębszych etycznych i artystycznych tęsknot duszy. Z pnia zamierzeń naukowych, społecznych i artystycznych wyrasta najszerszy ideał ziemskiej twórczości: sztuka kształtująca ludzkość. Skupić wszystkie twórcze siły duchowe, by dać im rozwój najwyższy, dla celu tego złączyć w najdoskonalszą całość duszę z techniką, racjonalne poznanie z twórczym przekształceniem — to znaczy zmierzać do spełnienia tego ideału.

TYMON TERLECKI

WOJCIECH BOGUSŁAWSKI — PISARZ

Aby tu, na tych deskach spełnił się urok magicznego zaklęcia, aby tu zaczęły kwitnąć kwiaty i wysklepiło się niebo, aby tu żyć zaczęli ludzie przełotni, jak obłoki, a prawdziwi, jak my grozą, smutkiem, urodą i wspaniałością ludzkiego istnienia — na to trzeba dni uciążliwych trudów i wielu rąk roboczych.

Czarowne przywidzenie z powietrza i światła, przepływające przez to miejsce poczyną się osobno w słowie pisanem, długo i mozolnie rodzi się w słowie kształtowanym i w słowie przeżytem. Ale co pewien czas ta na stopnie i specjalności rozłożona magia sztucznego snu — skupia się w jednym człowieku. Co pewien czas zjawia się on na świadectwo jedności teatru, jako wcielenie ostatecznej harmonii. Do rasy takich integralnych ludzi teatru, którzy naraz urzeczywistniają wszystko, co się na teatr składa, wszystko, czym teatr działa — liczy się Wojciech Bogusławski. Liczy się wespół z Ajschylosem, Szekspirem i Molierem, mimo że nie dosięga im genialnością.

Aktor, śpiewak, reżyser, inscenizator, pedagog, organizator — jest także pisarzem teatru. Pewnie, jako pisarz z żadnym z tamtych Bogusławski nie może iść w porównanie. Pewnie, ze wszystkich jego działań ta dziedzina najdalej została w czasie. A jednak zawód pisarski stanowi rys niezbędny w jego twórczym profilu, doniosły akcent w jego losie dziejowym.

Gdy po przebyciu wszystkich burz i walk wieloletnich sposobił Bogusławski 12-tomowe wydanie „Dzieł dramatycznych“ (1820 — 23), pomieścił na czele wschodnią parabolę, która miała unaocznnić przypadkowość jego pisarstwa. „Wolny od wszelkiej żądy autorskiej sławy — mówi on

*) Przemówienie na Akademii ku czci Wojciecha Bogusławskiego w Teatrze Narodowym w Warszawie, dnia 27-go września 1936 r.

sam — prawdziwy literat z biedy ...przymuszony zostałem do pisania...“ Ale to, co mu się zdawało zrządzone przypadkiem, było w koniecznej zgodzie z przedsięwzięciem nie od razu dojrzanym w całej rozciągłości, ale urzeczywistnionym w ostatecznej pełni. Wzniesienie z przyciesi chwiejnych, raz w raz padających przez zaniedbanie, raz w raz zrywanych przez burze — tej budowy, która miała go przetrwać i trwać do naszych czasów, najpewniej byłoby niemożliwe, gdyby w nim nie tkwiła także ta siła kreacyjna w zakresie literatury.

Bo trzeba sobie zdać sprawę, co zastał w teatrze polskim pazik księcia biskupa i „abszytowany podchorąży“ z oporem i determinacją poddający się osobliwemu swemu powołaniu? W roku 1765 ustanowiona scena narodowa zaczęła swoją historię od przepolszczenia molierowskich „Natrętów“ i — poza to do czasu Bogusławskiego nie wyszła. Poczciwina Bielawski jeszcze nie jedną sztukę Moliera pracownicy przedukał, tak po krawiecku przykroił, przybrał w strój polski. Nie były to nawet na tamte czasy czyny zbyt wiekopomne, jeśli żółciowiec Węgierski polskiemu molieryście jeszcze za życia stawiał taki nagrobek:

„Tu leży Bielawski, szanujcie tę ciszę,
Bo jak się obudzi, komedię napisze“.

Bielawskiego wsparł okrągłutki, pulchny i rumiany jak pomidor ksiądz Bohomolec, dobroduszny smarowacz konwiktowych komedii jezuickich, w których ustawy szkolne nakazywały ujednolajniać płęć osób działających. W skutku takich nabożnych zabiegów „Pocieszne — najpocieszniesze — wykwintnisie“ zmieniły się w dość piłowatych „Mędrków“. Gdy scena warszawska zgłosiła zapotrzebowanie, pisał Bohomolec komedie, utrzymujące już przyrodzoną równowagę płci, ale ciągle jeszcze mało oryginalne, ciągle jeszcze niezdolne przekroczyć kręgu, zakreślonego sugestią geniuszu Moliera. Zabłocki — pierwszy świadomy artysta komedii polskiej przed Fredrą — będzie uprawiał dalej tę metodę przetwórczą, co najwyżej satelitów i bezpośrednich następców Moliera włączy w strefę zapożyczeń.

A przecież rok 1778, w którym Bogusławski debiutował, jako pisarz i jako aktor, jest to moment nowych, potężnych napięć w literaturze dramatycznej Europy. Trzy lata minęły od „Cyrulika Sewilskiego“ (1775), a od wielu lat przed nim powtarzają się we Francji objawy odporu na przewagę, jednostronność, życiową obcość tragedii klasycznej. Włochy przeżywają wielki rozkwit dramatu muzycznego. Szekspir dobyte z grobu przez Garrick'a, zaczyna ciążyć nad Europą literacką, jak groźne i wspaniałe widmo. Za jego przyczynieniem zaczął się już w Niemczech wulkaniczny ferment, rozłamujący tradycję klasyczną.

Nie świadomie zapewne, ale z planowością dynamiki wewnętrznej wielkich realizatorów Bogusławski objął zakresem swego literackiego działania te wszystkie objawy nowości. Z miejsca, niemal od pierwszego poruszenia piórem zaczął odrabiać zaległości kulturalne. W wyniku kilku dziesiątków lat pracy sprzął teatr polski z europejską literaturą dramatyczną, odebrał temu zetknięciu już raz na zawsze cechę sporadyczności i ułamkowości.

Zaraz po pierwszej, niewinnej robótce tłumackiej, podejmuje czyn o znaczeniu inicjatywy przełomowej. Od aktora i przedsiębiorcy francuskiego Montbrun wzięwszy pobudzenie w kierunku muzycznym, przerabia pod muzykę drobną sztukę Bohomolca: „Nędza uszczęśliwiona“. Tworzy w ten sposób — jak sam to podkreśla — „najpierwszą, oryginalną, polską operę“, „cudo — opowiada w „Dziejach teatru narodowego“ — jak naówczas wszystkich zadziwiające, cudzoziemcom lękającym się wzrostu tej sztuki niemiłe, a rodakom mocno upodobane“.

W ślad za tym idzie przedsięwzięcie trudniejsze, przekład włoskiej opery Sacchiniego: „Dla miłości zmyślane szaleństwo“. I odtąd przez dziesiątki lat trwa przeszczepianie na grunt polski *dramma per musica* w wytworach wszelkiej jakości, we wszystkich jego odmianach, wszystkich gatunkowych rozróżnieniach, które Bogusławski będzie później uczenie wyklądał w uwagach do „Dzieł“. Więc „Fraskatanka“, „Szkoła zazdrosnych“, „Włoszka w Londynie“ aż do opery „Axur król Ormuz“ Salieri'ego, która stanowi szczyt i apogeum tego kierunku działania. Niebawem przychodzi kolej na operę niemiecką, mozartowską: „Flet zaczarowany“ (1802). Zamknięcie ten krąg mniej wystawna, mniej okazała, ale rosnący głód realizmu zaspokajająca werystyczna opera francuska z „Woziwodą paryskim“ Cherubiniego (1804).

Nim dokona się ta cała aneksja dramatu muzycznego, starym trybem Bielawskiego i Bohomolca przysposabia, przetwarza Bogusławski komedie Moliera: „Szkolę kobiet“ (1781), „Przekory miłosne“ („Ślub modny“). Począyna sobie z nimi swobodnie: zmienia nie tylko wiersz na prozę, ale przeprowadza zmiany dramaturgiczne, prostujące linię akcji, wyrzuca pewne sceny, „jako płaskiej nader włoszczyzny naśladowanie“, dodaje osoby, ale przede wszystkim przybiera postaci w nazwiska polskie i polskie obyczaje. Niedługo jako „dyrektor widowisk królewskich“, Bogusławski przerabiacz w dawnym duchu, poprawiacz Moliera w bardzo ortodoksyjnym smaku klasycznym — wystawia „Lanassę wdowę Malabru“ (1790), co prawda z francuskiego surowca, ale z niemieckiego odlewu — pierwszą w Polsce „dramę“. Sentymentalna i egzotyczna historia wdowy po indiańskim dośojniku, którą od śmierci na stosie ze zwłokami męża ratuje zakochany

Europejczyk, pociągała widza w zupełnie nowe doznania. Ukazywała sprawy niby zwyczajnie ludzkie, a przesłonięte błękitną mgiełką idealizacji, dziejące się pod niebem nieznanem i osobliwym. Przyprawiała o palpitacje serca i sprawiała słodką ulgę, gdy perypetie groźne a nieprawdopodobne szczęśliwie się kończyły. „Nieznajome dotąd wcale, — wspomina Bogusławski — nowego rodzaju widowisko, w którym chóry, marsze i bitwy widzieć się dały, uczyniło dosyć mocne wrażenie“.

Rozszerzenie kręgu repertuarowego na Niemcy nie ogranicza się do tej wzruszającej awantury malabarskiej. W ciągu swojej działalności Bogusławski wyczerpał bodaj wszystkie odmiany tych „germanicznych sztuk“, na które powstawał każdy prawowierny klasyk, jak na bluźnierstwo. Znalazły się w repertuarze Bogusławskiego i dramy „rycerskie“, z szczeniakiem pożyczanych, muzealnych zbroic, z sztucznym księżycem, i dramy fantastyczne, i dramy grozy i wszystkie inne. Prym tu trzyma JPan Kotzebue, arcydostawca tych czasów, którego nietrafnie i nie mniej przesadnie nazywano „niemieckim Voltaire'm“, a najgroźniejszy z psiego, diwotwornego korowodu dramy będzie „Abellino, wielki bandyt wenecki“ Zchokkego, protoplasta schillerowskich „Zbójców“.

Zetknięcie z współczesną literaturą niemiecką obejmuje wcześniej także sztukę istotniejszego znaczenia artystycznego: „Emilię Galotti“ Lessinga (1790). Coprawda Bogusławski nie był pierwszym, który mu uutorował drogę w Polsce (przed tym wystawiono: „Minnę von Barnhelm“). Prawda też, że nasz dyrektor niezbyt był świadom roli twórcy „Dramaturgii“ w przebijaniu drogi narodowej literaturze niemieckiej, niebardzo sobie zdawał sprawę z różnicy skali między nim a Kotzebue'm, któremu „przypisywał nieograniczoną znajomość świata i skłonności serc ludzkich“.

Ale nie mniej poprzez Lessinga, jak i kakofoniczną hałasę dramy wdarł się na scenę polską gwałtowny, świeży powiew: nowa tematyka i nowa zasada kształtowania, odwołująca się do nowego widza. Pośrednio poprzez Lessinga i bezpośrednio przez przekłady takich utworów, jak „Taczka occiarza“ Mercier'a — włączał się Bogusławski w linię napoczętą przez Diderot'a i Beaumarchais'ego. Żądali oni, aby dla warstw dochodzących do świadomości kulturalnej stworzyć odpowiednią formę dramatyczną, wypełnić bliską, własną ich treścią. Tak między koturnową, abstrakcyjną, etykietalną tragedią, a tarzającą się w jaskrawej szarzy komedią stawał gatunek pośredni, *genre sérieux*, dramat mieszczański.

Bogusławski w rozmaitych formach służy tej inicjatywie, w latach 1790-4 oddaje teatr sprawie, z którą tamta inicjatywa się wiązała: walce o prawa stanu trzeciego, walce o demokrację. W okresie Sejmu czteroletniego wystawia utwory Niemcewicza i Wybickiego, przeniknięte tym du-

chem i dwa własne: „Dowód wdzięczności narodu“ i „Henryk VI na łowach“. W pierwszym, który nazwał sam dopełnieniem „Powrotu posła“ działają te same osoby, tylko odmienione do dna, przetworzone przez konstytucję 3-ciomajową, jak przez nawiedzenie. Bufon Szarmancki jest tu żołnierzem, stary zacofaniec Gadulski — demokratą. Dla propagandy idei stronnictwa patriotycznego, dla hołdu królowi — dramatysta tak upraszczał widok rzeczywistości i psychologię postaci scenicznych.

„Henryk VI“, będący jakby szekspirowską dramatyzacją tekstu powieściowego inauguruje dramat społeczny, problemowy, walczący — o typie „Wesela Figara“. W temacie przypominającym trochę czy przepowiadającym „Halkę“ Wolskiego, rousseau'owskie potępienie miasta i dworu, naiwny sentymentalizm zespala się z tendencją humanitarną i demokratyczną, aż nadmiernie obciążającą utwór. „Czyliż masz być półbogiem dla mnie, dlatego, że jesteś bogatym?“ — mówi ktoś niżej urodzony do zuchwałego panka, a Henryk VI, wystylizowany na Stanisława Augusta całą swoją postawą potwierdza ten śmiały demokratyzm. Pod względem formalnym znaczy ten utwór wyraźny wyłom w konwencji klasycznej.

Okres przedrozbiorowy szczytuje w „Cudzie mniemanym czyli Krakowiakach i góralach“. Tu cała przygotowawcza, tłumacka czynność w zakresie dramatu muzycznego wieńczy się szczęśliwą próbą opery narodowej. Tu przedsięwzięcie demokratyzacji teatru wciela się najbardziej krańcowo w dramat o ludzie wiejskim, w pierwszy polski dramat mas, zbliżony do prawdy życia. Tu na koniec przyjęta przez teatr służba społeczna wyraża się najdobitniej, najtrafniej i — najskuteczniej. „Cud“ rzuca hasło rewolucji kościuszkowskiej, pierwszej rewolucji ludowej, i ponad jej ponawiającymi się klęskami ton wiary poddaje całej demokracji polskiej XIX-go wieku, tej, która egzaltowała się jeszcze w wezwaniu Wielkiego Wychodźstwa: „wejść w lud i stać się ludem“, tej, która brzmiała jeszcze aktem strzelistym w twórczości Stefana Żeromskiego.

„Cud“ przez dziesiątki lat idzie w zgodnym współrytmie z historią. Każde błysnięcie nadziei, każde uniesienie radości zbiorowej znajduje wyraz w tym dziele ciągle przetwarzanym, uzupełnianym, żywym prawie żywością tworu przyrody, w dziele upowszechnionym, jak żaden dotąd utwór polski, odmienionym na krew, którym pulsuje, na powietrze, którym odycha czująca zbiorowość polska.

Gdy pierwszy raz zawodzą spodziewania, gdy wszystko obala się w gruzy, wieczny perygrynant, Ahaswer teatru polskiego, nosiciel bojującej złudy, oparty aż o Lwów — nie przestaje tkwić jak najczulej w najbliższej rzeczywistości życia i jednocześnie sięgać ponad nią w daleki krąg europejski. „Izkahar król Peru“, najechanego przez Hiszpanów, utwór alu-

zyjny, paraboliczny rozdzźwięknie nutą prawie mesjaniczną, stanie się wzorem kryptopatriotycznej literatury, na jaką przez długie lata będą skazani pisarze krajowi. Jednocześnie — wraz z „Amazonkami” — ten melodramat jest dalszym rozszerzeniem inwentarza form teatralnych, biorących początek w reakcji przeciwklasycznej.

We Lwowie bodaj już wyczerpany zostaje w sensie ilościowym ten proces uniwersalizowania repertuaru przez — przekład „Hamleta”. Dokończył go Bogusławski z niemieckiej przeróbki Schrödera. Dzieło najosobliwiej zawiłe, wieloznaczne wyprostowano tu do architektonicznej linii, do nieskazitelnie spływającej fałdy. Odebrano Hamletowi jego — hamletyczność. Przecie zasługa pierwszego w Polsce przekładu Szekspira — jeśli nie liczyć nieudolnego spolszczenia „Kumoszek z Windsoru” — nie jest czysto numeryczna. Od niego zacznie się dyskusja zasadniczo znacząca dla przedstawienia wrażliwości estetycznej. Po nim pójdą przekłady innych utworów: „Lir” — największa rola aktorska Bogusławskiego, „Makbet”.

W najbliższym sąsiedztwie z „Hamletem” pozostaje komedia napół oryginalna: „Spazmy modne”. Jest ona ciekawa i znamienna przez swoją pograniczność: stanowi echo tradycji molierowskiej i usiłowanie o realistycznej dążności, napoczętej przez dramat mieszczański. Odkryte źródło włoskie pozwala śledzić, jak tu przemagał się w Bogusławskim klasyk, który poczytywał komedię za „szkołę obyczajów” i realista z niesłychaną, jak na swój czas, zuchwałością stawiający sytuację życiową. To realista podsunął mu myśl, aby trójkąt małżeński włoskiego, dość mdłego, niedomawiającego wzoru rozszerzyć do — czworokąta. To klasyk świetnie zawiązaną komedię, pełną żywych figur i odkrywczego komizmu w sytuacjach, przymusił rozwiązać w pobieżny, sztuczny, ale moralny sposób.

Żadna dziedzina twórczości Bogusławskiego nie nastęcza z tak nieodpartą siłą pytania, które brzmi trochę kacersko w uroczystym nastroju i melancholijnie zgrzyta w zgodnym szmerze uznania: czym mógł być Bogusławski i czym nie był? Cała jego działalność pisarska jest zadyszana aż do utraty tchu. Dokonywa się między jedną i drugą klęską pod grozą bankructwa, prześladowania, konieczności zmiany miejsca i charakteru prowadzonej instytucji. „Szkołę obmowy” Sheridan’a przerobił i wystawił — jak sam zaświadcza — w dziesięć dni. A było to jeszcze za czasów króla Stanisława, który sam miłościwie skrypt poprawiał, który zamyślał może wobec Bogusławskiego odegrać taką rolę opiekunczą, jakiej wzór zostawił Ludwik XIV w stosunku do Moliera. Może i zamyślał, ale wpraw nie umiał, a po tym już nie mógł. W bezkrólewskiej Polsce zdany już tylko na siebie, w twardej walce o chleb i o słowo polskie, w zakonnej służbie sprawom społecznym i narodowym — nie mógł Bogusławski być cyzelatorem, odpo-

wiedzialnym artystą, nie mógł pisać oryginalnie, ileby może, jakby może chciał i potrafił. Szło o inne bardziej nagłe, bardziej doraźne, bardziej pozaosobiste sprawy. Stąd ta rzucająca się nierównowaga między twórczością własną i przekładową. Dopiero badanie, dotąd ledwie zaczęte, tekstu jego tłumaczeń, które sięgają cyfry ośmdziesięciu, odsłoni olbrzymi wkład inicjatywy dramaturgicznej, objawi, jak w bolesnym napięciu, zadyszeniu, pośpiechu — rozmienił, rozmiótł, rozproszył swoją energię pisarską.

Gdy starość uprowadzi go wreszcie ze szlaku burz, zmagania i przygód w zacisze dworku na Nowolipkach, stworzy Bogusławski swoje najbardziej skończone, autentyczne, trwałe dzieło: „Dzieje Teatru Narodowego“. Pisane dojrzałą, przejrzystą, klasycyzowaną prozą, stanowią one jeden z najpiękniejszych okazów prozy pamiętnikarskiej, jakie zna literatura polska. Dokument prostoty, prawości i wielkości zaiste klasycznej.

Ale choć słowo: klasyczny na kartach „Dziejów“ powtarza się powielokroć, stosunek Bogusławskiego do tragedii tego imienia stanowi jedno z najbardziej tajemniczych i najbardziej istotnych zagadnień jego osobowości twórczej. „Dzieła“ pełne są czołobitnych reweransów dla tego dostojnego, szlachetnie urodzonego gatunku literatury. Każdy utwór Bogusławski poddaje drobiazgowej ekspertyzie ze stanowiska klasycznej, boileau'owskiej estetyki, kilkakrotnie z wykroczeń przeciwko niej sumituje się i usprawiedliwia. Mimo to darmo wśród dwunastu tomów szukać jednego przekładu, jednej próby oryginalnej w zakresie tragedii. W swoim uniwersalnym repertuarze Bogusławski uwzględnił ją późno i wyznaczył miejsce o wiele niegodne jej uznanemu dostojeniu.

Ta dwuznaczność zawiera istotę stanowiska i roli Bogusławskiego w dziejach kultury polskiej. Człowiek dwu wieków stał na rozstaju dwu epok. Tradycją wychowania w Collegium pijarskim, kultywującym teatr, Corneille'a i Voltaire'a ciążył do klasycyzmu. W ostatnich latach życia w godzinach pracy nad „Dziejami“ poddawał się złudnemu przeświadczeniu o zwycięstwie „dobrego smaku“ nad wszystkim, co mu było przeciwne. Temu zmyleniu perspektywy spraw ulegał nie sam; dzielił je z nim o młodszy Brodziński w warszawskich wykładach o literaturze. I to wszystko był jeden nurt osobowości Bogusławskiego. Drugi: skryty i głębszy przebiegał się napół bezwiednie w przeciwną stronę. Ciążył Bogusławski do romantyki tajnym instynktem, wyczuwającym nadchodzące prądy, ślepym czuciem, wietrzącym ów golfstrom, który miał odmienić kolor nieba, przejrzystość powietrza, wszystek wygląd świata. Był nieświadomym siebie romantykiem, preromantykiem. On, syn wieku oświecenia — przez całą działalność pisarską, przez „Krakowiaków i górali“ — stał się prostowaczem ścieżek romantyzmu.

W roku 1816 przebywał Bogusławski w Wilnie, w ciągu krótkiego czasu wystawił: tragedię Alfieri'ego: „Saul“, komedie Goldoni'ego, „Króla Lira“ i „Cud mniemany“. Wśród widzów ubogiego teatru wileńskiego, który co wieczora rozplomieniał się żarliwym entuzjazmem, mógł być i był pewnie młodzieńczyk o płonących oczach, student pierwszego roku uniwersytetu — Adam Mickiewicz.

W ciżbie tamtego parteru wypatruje go nasze spojrzenie i pochwytuje niewidzialną więź, jaka się wywiązała między starym, steranym aktorem, a młodzieńcem, który nosił w sobie całą nową epokę, cały osobny świat wielkości.

WIKTOR BRUMER

WOJCIECH BOGUSŁAWSKI – ARTYSTA TEATRU

1

Artyzm teatralny przejawia się w najrozmaitszych formach, różne są sposoby wypowiedzenia się człowieka teatru. Artystą teatru jest aktor, jest reżyser, scenograf, jest nim — względnie powinien nim być — dyrektor teatru.

Działalność sceniczna Wojciecha Bogusławskiego była wszechstronna, a mówiąc o jego artyźmie teatralnym niepodobna odrębnie traktować tej wyjątkowej w dziejach polskiej sceny postaci jako aktora, reżysera, dyrektora, pedagoga, autora dramatycznego czy tłumacza. Wszystkie bowiem te funkcje jednoczył Bogusławski, wszystkie z jednego urodziły się umiłowania, wszystkie jednemu służyły celowi, wszystkie świadczyły o niepożytej energii i sile twórczej Bogusławskiego — artysty teatru.

Bo artystą teatru był Bogusławski na każdym terenie swej działalności. Nie był nim tylko jako aktor. Wymaganiem sztuki teatru kierował się również jako t. zw. antreprenier czyli poprostu przedsiębiorca teatralny. W przeciwieństwie do przedsiębiorców-spekulantów w rodzaju ex-kamerdynera Ryxa, traktował Bogusławski swe stanowisko kierownicze w teatrze jako placówkę artystyczno-wychowawczą. Pod tym względem był Bogusławski wzorem dyrektora-artysty, wszechstronnie pojmującego swe obowiązki. Wychowywał bowiem równocześnie i aktora i publiczność.

Jeżeli zwrócimy uwagę na to, że sztuka aktorska w Polsce stanisławowskiej dopiero się tworzyła, że wzorów było mało, że pierwsi aktorzy polscy kierowali się raczej instynktem i intuicją, która nie zawsze wystarczała, że często nadmiarem gestów i napuszoną mową pokrywali niedobo-

ry umiejętności, to zrozumiemy, w jak ciężkich warunkach Bogusławski wywalczał szacunek widzów dla sceny narodowej, będącej w dodatku narodową głównie z języka, a nie dzięki nielicznym utworom oryginalnym. Jakże trudno było równocześnie kształcić i aktora i publiczność! Bogusławski z wielką umiejętnością godził jedno z drugim, a baczna uwaga, skierowana na obie strony rampy scenicznej cechowała jego długoletnią działalność dyrektorską.

Stopniowo przyzwyczajał publiczność do różnych gatunków widowisk scenicznych, wyrabiając zarazem w aktorach giętkość i zmuszając ich do występowania w tragedii, komedii, farsie, wodewilu, operze czy dramie. Chociaż był przeciwnikiem tak pojętej wszechstronności, chociaż uważał, że grający dziś Polifonta nie powinien grać nazajutrz Szewca, a Pijany Sierżant — głowy Machabeuszów, chociaż twierdził, że specjalizacja wydoskonaliłaby talenty aktorów, musiał liczyć się z ówczesnymi możliwościami i dlatego wymagał zdolności zastosowania się do różnych rodzajów twórczości aktorskiej. Sam świecił przykładem i — chociaż z trudnością przechodziło to Bogusławskiemu, w pierwszych latach zawodu aktorskiego amantowi — gdy zachodziła potrzeba, występował jako bas buffo. Ten dobry przykład przysposabiał aktora do różnorodnych zadań.

Przewycięzał trudności i to tym większe, że aktorowi polskiemu przeciwstawiano stale lepiej wyszkolonych aktorów cudzoziemskich. Krok za krokiem zdobywał Bogusławski nowe tereny pracy scenicznej, krok za krokiem rozszerzał możliwości polskiego aktora. Na długo przed założeniem przez niego pierwszej w Polsce szkoły dramatycznej wykazał, jak świetnym jest pedagogiem. Ciężka praca Bogusławskiego - wychowawcy, ulegająca w ciągu lat ustawicznym fluktuacjom, ustawicznym przemianom, zmieniała i krystalizowała oblicze aktora polskiego. Inny był aktor Bogusławskiego w epoce stanisławowskiej, a inny w czasach Księstwa Warszawskiego. Od przesadnego patosu i nadprodukcji gestu przeszedł on do gry — w miarę możliwości — naturalnej, przesadę zastąpiła prawda uczucia, improvizację — przemyślenie roli.

Jak w krótkim stosunkowo czasie doskonalił się kunszt aktorski w Polsce, świadczy o tym to co pisał Bogusławski o cenionym aktorze Mierzyńskim: „Uczuł, że *nowy wcale sposób gry*, do znacznej wyższości wzniesiony na scenie stołecznej, nie radził mu już zniżyć się do ról drugiego rzędu tam, gdzie go niegdyś na pierwszym widziano“. A więc aktor, który uchodził za znakomitość, a nie potrafił nagiąć się do nowych warunków pracy aktorskiej — musiał zejść z horyzontu. Ale ile wymagało to cierpliwości i trudu, by aktor polski mógł drogę taką przebyć! Oto dla ilustracji

kilka przykładów: Bogusławski pragnie przełamać przesąd, że polski aktor nie potrafi śpiewać we włoskiej operze. Tłumaczy ulubioną „Fraskatankę” Paesiello, rozdaje aktorom role, sam naznacza sobie rolę odmienną od tych, w jakich dotąd występował. „Zamiar mój — pisał potem — nie tylko ganiono, ale nawet wyszydzano... Trafiały się i wtedy przykłady owego zuchwałego i że tak powiem bezczelnego wmawiania w publiczność talentu, którego się niema. Ja chwyciłem się tego sposobu, który, chociaż mi wielkie gotował niebezpieczeństwa, pocieszał z drugiej strony nadzieją, że raz przełamana zasada otworzy dla sceny ojczystej wiele korzyści”. Zapowiedź wystawienia „Fraskatanki” publiczność przyjęła szyderczym śmiechem. I nic dziwnego. Wszak wśród aktorów byli tacy, co „nie znając nawet muzyki, samym tylko naturalnym powodowani słuchem”, wielce różnić się musieli od śpiewaków włoskich. A jednak — przedstawienie się powiodło. Jak tam było ze śpiewem — hm — dokładnie niewiadomo, aktorzy jednak nasi górowali niewątpliwie nad włoskimi grą sceniczną. Elsner pisał, że „Bogusławski przy miernym śpiewie jako komik w rodzaju włoskim basso caricato szczególnie się odznaczał”.

A po kilkunastu latach aktor polski odnosi tryumf całkowity w operze Saliergo „Axur”. Odnosi tutaj sukces już nie tylko jako aktor, ale i jako śpiewak. Umiejętność połączenia śpiewu z odpowiednią grą sceniczną — to zasługa Bogusławskiego, który słusznie z dumą pisał o przedstawieniu ter opery we włoskiej interpretacji, że „samym tylko śpiewem kraszona, w żadnym względzie nie mogła iść w porównanie z naszą”.

Gdy już nauczył Bogusławski aktora swobodnej gry w operze — poszedł dalej. „Brakowało jeszcze — pisał — polskiej operze tego, co jest każdemu narodowi najdroższemu — narodowości”. Napisał wtedy „Krakowiaków i górali”, utwór, w którym aktorzy mogli już polskie przedstawiać charaktery, w polskim wystąpić kostiumie, polskie śpiewać melodie. I to dzięki tej nauce, temu doświadczeniu, jakie zdobyli występując poprzednio w operach włoskich.

Tych kilka przykładów daje świadectwo owej systematyczności, jaką w szkoleniu aktora a równocześnie i widza wykazywał Bogusławski. Dowodzą one zarazem tego, o czym pisałem na wstępie: że Bogusławski wszystkie swe funkcje artystyczne łączył z sobą. Że do celu artystycznego zmierzał równocześnie, programowo jednocząc zadania dyrektora, reżysera, pedagoga, aktora, autora i tłumacza. Narzucił więc sobie Bogusławski trud, jaki „zorganizowany” teatr dzieli między kilka osób. Zjednoczenie tych prac, świadczące o niezwyklej pracowitości Bogusławskiego, pozwoliło na celowe i intensywne realizowanie programu artystycznego.

Jaki jednak dawał Bogusławski przykład aktorom, czego od nich wymagał jako reżyser? Otóż na podstawie zestawienia nielicznych źródeł zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Bogusławski hołdował tym zasadom, jakim dał wyraz w swej „Improwizacji w Wersalu” Molier, a więc zasadom prawdy i naturalności. Do prawdy tej zmierzał Bogusławski konsekwentnie od początków swej kariery scenicznej. O pierwszym jego występie mamy relację, że uczucie, *naturalność*, pojęcie wyższe przy skromności, obawie, szlachetnych poruszeniach postaci, dźwięcznym głose zapowiadały piękną przyszłość poczynającego trudny zawód artysty“. A więc już tutaj jest wzmianka o dążeniu młodego aktora do naturalności.

Ta sama dążność kazała mu nakłonić Hempińskiego, by w tłumaczonej przez Bogusławskiego komedii Cerou „Amant, autor i sługa“ zrzucił stale przez siebie noszony żupan, a przywdział — jak tego tekst wymagał — strój francuski. Dzisiaj rzecz ta wydaje się sama przez się zrozumiała, ale wówczas nie tylko w Polsce, ale i na starych scenach zagranicznych o autentyczność kostiumu nie zawsze dbano. Poprostu np. król musiał nosić koronę, kładł się nawet w niej — a jakże — do łóżka, ale poza tymi najbardziej zewnętrznymi oznakami — stosowanymi, jak widzimy, nie zawsze w porę i w odpowiednim miejscu — nad prawdą przechodzono do porządku dziennego. Wszak gdy w 1741 roku ukazał się na scenie lipskiej aktor grający Katona w stroju rzymskim — wyśmiano go. Bardzo powoli kostium historyczny wywalczał sobie prawo obywatelstwa. Często ten „historyczny“ kostium był tylko fantazją na temat historii. I Bogusławskiemu zdarzały się nieraz rozmaite niedociągnięcia pod tym względem, samo jednak nakłonienie Hempińskiego do zrzucenia żupana świadczy już dobitnie o dążności Bogusławskiego do wywołania prawdy na scenie.

„Jakim sposobem — dziwił się, omawiając jedną ze sztuk — *niepodobne wcale do wiary* zdarzenie może zajmować umysły i poruszać serca patrzących jest rzeczą godną uwagi“. Jest charakterystyczne jak Bogusławski, dbając o naturalność, a krępując się obowiązującymi zasadami trzech jedności, przełamuje je usprawiedliwiając się właśnie wymaganiami prawdy. Oto jak tłumaczy w uwagach nad swą komedią „Spazmy modne“ zmianę miejsca akcji: „Co mi się zawsze *naturalniej i przyzwoiciej* być zdaje, niżeli koniecznie do jednego miejsca wszystkie sprowadzać osoby, kiedy tam albo być albo tego co mówią mówić nie powinny“. Ile razy omawia Bogusławski działalność jakiego aktora, a chce mu największy powiedzieć komplement, używa zwrotu: *naturalny*.

Dbając o tę naturalność stara się Bogusławski w swych utworach

różniczkować język, jakim przemawiają poszczególne postaci. O swym „Henryku VI na łowach“ pisze: „Charaktery osób, stanom i wiekowi ich właściwe, stosowną także wymową odróżnionymi zostały“. Podobnie w „Spazmach modnych“ — jak pisał — „wymowę i styl usiłował nadać osobom tej sztuki, jakie ich wiekom i charakterom zdawały mu się przyzwoite“.

Te uwagi Bogusławskiego - autora rzucają sporo światła na rodzaj jego twórczości aktorskiej. Bogusławski zdawał sobie sprawę, że podstawy rzemiosła aktorskiego są jednakowe pod każdą szerokością geograficzną. Ale umiejętne stosowanie rzemiosła w sztuce aktora jest już zależne od właściwości narodowych, językowych, temperamentu i t. p. Dlatego inny jest rodzaj gry scenicznej aktora np. włoskiego, inny angielskiego. Inny nawet wtedy, gdy aktor występuje w sztuce cudzoziemskiej, a coś dopiero, gdy gra w utworze własnej literatury dramatycznej. To też Bogusławski, nie chcąc, by scena polska „pawiem narodów była i papuga“, nakreślił aktorowi własną, niezależną od obcych wzorów drogę.

Co charakteryzowało grę Bogusławskiego i w jakim kierunku kształcił on aktora, świadczą te cenne słowa, stanowiące wyznacznik wiary aktorskiej Bogusławskiego: „Niestosownym jest wcale porównywanie naszych z obcych artystów talentami; każdy bowiem naród ma oddzielne sobie tylko właściwe uczucia i każdy je odmiennym wyobraża sposobem. Rzymianin przekładał nad wszystko mimikę Pyllada i Bathilda larze zdawały mu się być wymowniejszymi nad Terencjusza komedie. Francuzi mniej gestów, więcej pięknego żądają wysłowienia. Anglicy i Niemcy w gwałtowniejszych poruszeniach i silniejszej wymowie upatrują większą naturalność. Polak, zawsze w układzie swoim poważniejszy, ani zbyt licznych gościw niemieckich przejąć, ani dla jedności własnego języka, miękkiej francuskiej wymowy naśladować nigdy nie zdoła“.

Przy innej sposobności powie Bogusławski: „Gra moja żadnego wzoru, żadnego niewolniczego nie znała naśladowania i jest moją własną. Sam ją sobie utworzyłem, przy niej do śmierci zostanę... Nie będę gry mojej nigdy stosował do gry zagranicznych artystów, bo to ani z harmonią języka ani z sposobami myślenia i czucia prawdziwych rodaków moich nigdy się nie zgodzi. Polak, dla Polaków grać będę“.

Dążył więc Bogusławski do stworzenia polskiego stylu gry scenicznej. Wiedział jednak, że ten styl może się wytworzyć i utrwalić tylko w spółtwórczości z literaturą dramatyczną. „Polak — pisał on — może być dobrym artystą, a będzie nim daleko więcej, kiedy autorowie nasi, zamiast nieskończonego tłumaczenia dzieł obcych, zaczną pisać oryginalne sztuki,

wystawiające bohaterskie czyny albo śmieszności własnego narodu. w których Polak będzie mógł być Polakiem“.

Uniezależnienie się od obcych wzorów potwierdza głos Dmuszewskiego, który po powrocie z Paryża przeciwstawiał grę Bogusławskiego i jego szkoły aktorom francuskim, mówiąc o nich: „Są jak opętani, wrzeszczą tak, że uszy sobie zatykać potrzeba“. O znakomitej tragicznej Ledóchowskiej, Bogusławskim i innych twierdzi, że „nierównie doskonalej pojęli naturę i sztukę. Trzymajmy się naszej gry, zagranicznej niema co naśladować“. Jeżeli odrzucimy pewnego rodzaju snobizm Dmuszewskiego, który jako aktor sceny warszawskiej chciał ją w jaknajlepszym widzieć świetle, to z sądu jego dwie wyciągnąć należy konkluzje: że aktor polski nie naśladował zagranicznego i że gra Bogusławskiego nie opierała się na sztucznym patosie, lecz była skupiona i naturalna. Bogusławski dążył do prawdy wyrazu scenicznego. Że tak właśnie było, że to charakteryzowało jego grę, świadczy o tem obszerna polemika, jaka wywiązała się po występie Bogusławskiego w „Dwóch Klingsbergach“ Kotzebuego (1815 r.). Nie chodzi o to czy zarzuty, czynione Bogusławskiemu przez X-a są słuszne czy nie, istotna jest dla nas obrona koncepcji aktorskiej. Obrona ta, będąca świadectwem przemyślenia tekstu, ukazuje nam Bogusławskiego jako aktora realistycznego.

X ujemnie ocenił grę Bogusławskiego w roli starego hrabiego Klingsberga, wychodząc z założenia, że Klingsberg jako arystokrata winien mieć ułożenie szlachetne, chód przystojniejszy, ubiór wytworniejszy i bogatszy. Tymczasem Bogusławski na cechy te nie zwrócił uwagi, wziął rolę „z płaszczyzny strony i tym samym całą sztukę upodlił“.

Zanim zabrał głos Bogusławski — z obroną jego kreacji wystąpił J...cz, tłumacząc, że autor chciał przedstawić Klingsberga jako „zwiedłego rozpustnika, włóczącego się po oberżach, po czwartym piętrze u mydlarza, obcującego z kobietami, które w jego przekonaniu są podłe lub bawiącego się lubieżnym opowiadaniem niecznych czynów swego syna. Trudno w tym poznać jednego z pierwszym magnatów, trudno tam szukać szlachetności, gdzie wszystko jest nieszlachetne, a że chód starego podagryka nie jest dosyć przystojny, winić w tem należy podagrę, która nie przepuszcza i ludziom najlepszego tonu“.

Bogusławski odpowiadając na zarzuty X-a pisał, że chociaż Klingsberg jest dobrze urodzony, to jednak z tego nie wynika, iż należy go tak interpretować, jak sobie tego X życzy. „W całej sztuce — pisze Bogusławski — w dwóch tylko 3-go i 4-go aktu scenach stary Klingsberg rozmawia z własną swoją siostrą, a w których tak dla wyszydających przy-

cinków jako i dla wystawienia siebie na pośmiewisko własnego syna w ogrodowym rendez-vous nie żadnej grzeczności, ale raczej oburzenia się na nią znajduje powody. Reszta sztuki dzieje się między panią Friedberg, którą on w bardzo ubogim stanie u swego arendarza poznawszy, dla swoich miłostek do miasta sprowadza i którą wcale od zadań czystej westalki daleką być rozumie. Między Henrietą hafciarką, którą sądzi być miłostkom syna swego poświęconą, a porucznikiem Sztein, zmyślonym jej bratem... między oberżystką... garderobianą jego siostry, z którą w bardzo poufale zachodzi zaloty... Pytam teraz pana X, który to i jakiego kraju magnat w tym samym stylu rozmawia i w równie dworskim tonie obchodzi się z dziewczętami, które obsypuje złotem i wzgardą, jakim czci damy pierwszej dostojności i oświecenia. Jedenże to powinien być ton życia w pałacach, jak i w oberżach, na czwartym piętrze u mydlarza...? Chód starego Klingsberga, mającego około lat 70 i cierpiącego podagrę... nie może być inny, a ułożenie pochyłonego starca im jest nieruchawsze, tym śmieszniejszą wystawia chęć jego kochania się i uwodzenia płci pięknej i takową też to wadę wyśmiać prawdziwym autorem było zamiarem. Ubiór nakoniec jego nie powinien być bogatszym, bo żaden z magnatów nie stroi się w galowe suknie idąc do oberży albo mydlarza, a na domowy ubiór suknia starego Klingsberga była jaką być powinna“.

Polemikę, trwającą dość długo (Bogusławski zabierał w niej głos dwukrotnie) możnaby kontynuować. Możnaby ją doprowadzić do czasów ostatnich, szukając paraleli między ubiorem Bogusławskiego-Klingsberga a szlafrokiem Kazimierza Kamińskiego, jako rittnerowskiego Szambelana. Nie w tem rzecz. Istotne jest, że Bogusławski obronił swój punkt widzenia na kreowaną postać. Nie chciał on stworzyć jakiegoś oderwanego od tła typu arystokraty, lecz postać tę związał z otoczeniem. Związał ją za pomocą gestu, intonacji, kostiumu. Stworzył dzięki temu postać nie wytworną (choć wytwornym być potrafił), ale zato prawdziwszą.

„Obrona“ Bogusławskiego jest dokumentem, świadczącym, że nie był on jako aktor zapatrzony tylko w swoją rolę, lecz rolę tę komponował w łączności z całością sztuki. Może w realizmie poszedł tutaj za daleko, ale kierowało nim przykazanie: że aktor powinien być naturalny. W późnym okresie działalności Bogusławskiego pisano o nim: „Niechaj wszyscy nasi artyści korzystają z wzoru, który jeszcze widzą w p. Bogusławskim, niech się od niego uczą, jak można naturalną i spokojną grę z mocą połączyć, jak na ustawicznym podnoszeniu głosu i deklamacji prawie w przesadę wpadającej oddanie roli zależy, jak uniesienie się jedynie na stanowczym miejscu nastąpić powinno“.

Passus o naturalnej grze i potem o deklamacji prawie w przesadę wpadającej każe patrzeć na grę Bogusławskiego, jako na połączenie realizmu z umiejętnością traktowania wiersza, którego artysta, mimo że hołdował zasadom naturalności, nie traktował jako prozę. Był pełen szlachetności w wyrazie, daleki od „Kulissenreisserei” aktorów angielskich czy niemieckich.

Bogusławski — jak z recenzji powyższej wynika — potrafił deklamację urozmaicać. A sztuka tego rodzaju interpretacji jeszcze się u nas nie wydoskonalila, skoro jeden z X-ów wytyka aktorom polskim „przykrą jednostajność w deklamacji”. „Każdy aktor i aktorka — pisze on — obrawszy sobie pewną oktawę głosu w pierwszym zaraz wierszu, nigdy go nie zmienia, aktorowie zawsze deklamują górnio, aktorki prawie zawsze płaczą”.

O tym, jak Bogusławski, nie przygniatając wiersza, potrafił być naturalny — w myśl tego, czego wymagała krytyka, żądając, by aktor „uważając człowieka w różnych jego działaniach, naśladował wiernie naturę”, świadczy nie mniej dobitnie recenzja z „Horacjuszy” Corneilla (1824 r.): „Tu dopiero — czytamy — widziałem człowieka o zupełnym obrazie. Nie teatralną deklamację i wyuczoną mimikę, głos to natury i poruszenia boleści w całej prawdzie przedstawia nam ten aktor. Na jego twarzy każde uczucie jak w zwierciadle odbija, jest to malowidło serca, jest to przejęcie się rolą, tryumf wysokiego talentu. Każdy wiersz w jego ustach przedziera się do duszy, z której pochodzi. Gra p. Bogusławskiego powinna być największą szkołą naszych artystów, uczniowie instytutu dramatyki ten najdoskonalszy wzór powinni mieć przedstawiony, bo zdaje się, że przynajmniej deklamacja wstecznym u nas postępuje krokiem. Młodzież coraz jest dalsza od natury i prawdy”.

Recenzent pisze tu o naturalności w grze Bogusławskiego, o jego umiejętności mówienia wiersza i przeciwstawia jej młode pokolenie aktorskie, którego deklamacja jest daleka od prawdy. Mamy więc potwierdzenie poprzedniej opinii, świadczące o tym, że Bogusławski był znakomitym deklamatozem, nigdy jednak jego deklamacja nie stała w poprzek wymaganiom naturalności i bezpośredniości. „Jak dzielnie i szczęśliwie — pisał o Bogusławskim recenzent wileński — umiał władać subtelnym stopniowaniem uczuć i odpowiednich im, wyrachowanych poruszeń ciała, nie dosyć jeszcze znanych na tutejszej scenie”.

Bezpośredniość Bogusławskiego nie była oczywiście bezpośredniością w dzisiejszym jej rozumieniu. Byłoby błędem, gdybyśmy chcieli ówczesny realizm gry Bogusławskiego porównywać np. ze szkołą Stanisławskiego.

Zwrot recenzenta wileńskiego o „wyrachowanych poruszeniach ciała“ daje dużo do myślenia. Bogusławski traktował scenę nie jako życie, lecz udawanie życia. To udawanie musi mieć wszelkie pozory prawdy, ale prawdy na scenie nie można identyfikować z prawdą życiową. To też w „Dramaturgii“ pisał Bogusławski, że „widowiska, w których dusza ma działać, potrzebują nieskończonej sztuki, bo w nich wszystko jest kłamstwem, które aktor chce udać za prawdę“. Świadcstwa ówczesne zgodnie potwierdzają, że wysoki kunszt aktorski Bogusławskiego kłamstwo sceny zmieniał w realną prawdę. Szlachetny w wyrazie umiał rozczułać do łez widzów. Uczucie bowiem w interpretacji Bogusławskiego wielką odgrywało rolę. „Nie można być czulszym ojcem od p. Bogusławskiego — czytamy w recenzji z „Łgarza“ Goldoniego. — Jakże syna swego słuchał, jak dzielił jego niebezpieczeństwa, jak się jego szczęściem uszczęśliwiał“. A w recenzji z „Horacjuszy“: „P. Bogusławski był prawdziwym Rzymianinem, szczególnie zaś celował grą swoją, gdy odebrał wieść okropną o ucieczce syna i w gwałtownym przejściu z rozpacz do radości“. O grze Bogusławskiego w „Królu Lirze“ czytamy: „Widzieliśmy go jeszcze dzisiaj takim, jakim był przed 17 laty, kiedy po raz pierwszy w tej sztuce wystąpił; jak wtedy tak i teraz gra jego łączy widzom wycisnęła“. Inna relacja o jego „Królu Lirze“ podobnie mówi, że „rola tytułowa wystawiona była przez pana Bogusławskiego w sposobie naturalnym i kłiwie aż do łez wzruszającym“.

Tkliwość i uczuciowość łączył Bogusławski z zapałem, który stale u niego podziwiano. O jego roli Zamora w „Alzyrze“ czytamy, że „tak była oddana, że prawie niepodobna przypuścić, aby ją grał człowiek wieku pana Bogusławskiego. Widziano w Zamorze zapał, popęd młodego człowieka, nie oddychającego innymi uczuciami jak miłością i zemstą... Jak gwałtowne i jak różne poruszenia, a to wszystko z jakim grał wyrazem imć pan Bogusławski!“ Gdzieindziej podobnie czytamy, że „trudną rolę Zamora wydał ten zasłużony sceny polskiej weteran z tym zapałem, jakiego-by się i ognisty Lafond nie powstydział“.

Te bezsporne a zgodne świadectwa są dowodem, że Bogusławski, opracowując wnikliwie tekst, nie interpretował roli na zimno, dawał jej rumieńce życia i tchnienie głębokiego uczucia. To właśnie sprawiało, że deklamacja jego nie mogła mieć cech sztucznego patosu. Pisał Bogusławski o „pierwszym“ aktorze polskim Boromeuszu Świerzawskim, że „oprócz doskonałego umienia roli żadne inne przygotowanie, jakowy plan albo sztukę okazujące w grze jego dostrzegać się nie dawało. Była to sama prosta natura“. Szkoła aktorska Bogusławskiego stawiała już znaczniejsze wymagania: sama natura nie wystarczała. Potrzebny był „plan“ i „sztuka“. To właśnie cechowało grę Bogusławskiego.

Mówiąc o Bogusławskim jako reżyserze nie należy oczywiście zastanawiać się nad jego działalnością w tym kierunku, stosując dzisiejsze wymagania, jakie sztuce reżyserskiej stawiamy. Ani wydany w 1808 roku „Dykcjonarzyk teatralny“ ani nawet ogłoszone w 1823 roku „Ustawy Teatru Narodowego“ stanowiska reżysera w teatrze nie przewidują. Zagranicą dopiero u schyłku XVIII wieku rodzi się potrzeba reżysera-specjalisty. Na ogół reżyserzy ci — czy to będzie Ekhof czy Schröder — byli przede wszystkim reżyserami-pedagogami. Takim samym reżyserem-pedagogiem był u nas Bogusławski: uczył aktora.

Ale rola reżyserska Bogusławskiego nie ograniczała się do samej pedagogii. Zajmował się on energicznie przygotowaniem egzemplarza do użytku scenicznego, inscenizacją utworów i pod tym względem — podobnie jak to było praktykowane na szeroką skalę zagranicą — dopuszczał się wielu dowolności, wobec jakich grzechy dzisiejszych reżyserów, którym tak pochopnie zarzuca się rzekome czy nierzekome poprawianie autorów, są dziecinną igraszką. A więc np. tragedię Zieglera „Eleonorę“ nie tylko przerabia w ten sposób, że z pięciu aktów zostały cztery, ale poza tym — jak pisał — „rozwiązanie także osnowy uwiadomieniem pierwszej słuchacza co się z każdą główną osobą po spuszczeniu zasłony dzieć będzie, a potem szybkim onej zakończeniem nieco ulepszonym zostało“.

Podobnie „poprawiał“ również Bogusławski i Moliera, nie tylko przenosząc, według ówczesnych praktyk, akcję „Szkoly żon“ czy „Przekor miłosnych“ do Warszawy, lecz dokonując poza tym licznych zmian. W „Przekorach“ opuścił jedne sceny, inne zaś przeniósł z jednego aktu do drugiego.

W „Szkole kobiet“ poszedł Bogusławski jeszcze dalej. „Ażeby dać więcej ruchu pochodowi całej sztuki“ dodał dwie osoby: huzara Filutowskiego i służącą Felusię. Uczynił to, by ożywić akcję oraz uczynić ją zrozumialszą. Opuścił kilka scen i opowiadań, m. in. „*nienaturalne sprzecznienie się dziewczki z parobkiem Anzelma*“. Niektóre skróty tak motywuje Bogusławski: „Brak działalności, niezmiernie długie i często te same myśli powtarzające monologi wstrzymywały bieg rzeczy i oziębiały niektóre sceny, a nienaturalne rozwiązanie osnowy czyniło ją mniej do wiary podobną. Jakoż *wszelka, choćby i najśmielsza powieść kilkakrotnie raz poraz powtarzana przestaje nakoniec bawić*“. Opuszczenie różnych scen i wprowadzenie nowych postaci zmieniło oczywiście układ komedii. Opowiadanie o napaści w ostatnim akcie komedii Moliera Bogusławski zmienił w akcję sceniczną, dążąc do unaocznienia wydarzeń. Gdy wystawiał „Emilię

Galotti“ Lessinga, opuścił wiele rozmów, gdyż — zdaniem Bogusławskiego — osłabiają one wrażenie.

Tego rodzaju obróbki tekstu były u Bogusławskiego na porządku dziennym, a były one drobiazgiem w porównaniu z tem, w jakiej postaci wystawiał Szekspira. Tak samo zresztą odnoszono się do tekstów dramatycznych wszędzie, a Goethe, wystawiając w Weimarze swego „Götza von Berlichingen“, przerobił go, wychodząc z założenia, że teatr ma swoje prawa, którym dzieło poety musi się podporządkować. W danym wypadku Goethe - dramaturg podporządkowywał się Goethemu - inscenizatorowi. Wystawiając „Romea i Julię“ skreślił Goethe cały szereg scen, a dodał inne, np. dialog między Julią i Parysem.

Nie był więc Bogusławski odosobniony w swych poczynaniach. Postępował tak, jak przyjęte to było wówczas w teatrze na zachodzie. Adaptując teksty, postępował z nimi Bogusławski tak, jak mu się to wydawało ze stanowiska sceny za wskazane.

Jako reżyser dbał Bogusławski zawsze o to, co było dlań również głównym nakazem jako dla aktora: o iluzję prawdy. Żąda więc od aktorów, by gra ich nie doznawała przerwy, gdy słowo zamiera, występuje przeciwko aktorom „z obojętnością rozmawiającym między sobą w tem czas, gdy kto rozpacza w nieszczęściach albo umiera na scenie. W takowem zdarzeniu — pisze w „Dramaturgii“ — jedno niepotrzebne przejście przez teatr stojącej na scenie osoby odwraca oczy patrzących od działającego aktora. Jeden nieprzyzwoity komiczny lub przesadzonego żalu okaz sprawia w widzach, którzy to spostrzegli, śmiech. Powinnością więc jest nie grających a przytomnych aktorów na scenie wyobrażać takie same postawy i poruszenia, jakieby mieli, gdyby rzeczywiście znajdowali się przy zdarzeniu takowem, na jakie patrzą“.

Dbając o tę naturalność osób, biorących udział w akcji a nie wypowiadających w danym momencie słów roli, zwracał Bogusławski uwagę na odpowiednie, z tekstu wynikające, grupowanie się tych osób. Wiele dowiadujemy się o tym z didaskaliów Bogusławskiego w jego utworach. Oto przykład, zaczerpnięty z „Izakahara“: „Gdy to opowiada Xaira, wszyscy ją otaczają, nie uważając co się na wierzchołkach skał dzieje. Wtem Hiszpanie pokazują się na górach, a widząc na dole tłum zgromadzonych Amerykanów, dają ognia do nich. Krzyk powszechny przerywa mowę Xairy, wszyscy zwracają oczy do góry, większa część ludu pada na ziemię — Królowa, Xaira i Zundi cisną się pod jedną skałę. Arcybramin i Braminowie otaczają ołtarz, Król Jarko i wielu odważniejszych Amerykanów wymierzają strzały ku Hiszpanom. Wstrzymują się Hiszpanie na górach, a Don Alvados daje znak, aby go słuchano“. Umyślnie przytoczyłem te

szczególne uwagi Bogusławskiego, gdyż świadczą one o dokładnym prze-myśleniu przez niego sytuacji scenicznej. Grupa sceniczna nie jest tutaj jakąś nic nie wyrażającą, nieskoordynowaną masą przypadkowe miejsca zajmujących statystów, Bogusławski celowo ją rozmieszcza, starając się o barwność i różnorodność, czego dowodem owo zwrócenie oczu do góry wszystkich i przypadnięcie do ziemi części grupy.

Bogusławski dbał o stronę plastyczną widowisk, powierzając prace malarskie wybitnym artystom. I chociaż nawet na zasobnych scenach zagranicznych obowiązywał wówczas „fundus instructus” — komplet dekoracji, stosowany do różnych sztuk, Bogusławski raz po raz sprawiał do poszczególnych utworów specjalnie komponowane dekoracje i kostiumy, wiedząc, że każdy utwór wymaga innej oprawy malarskiej i że prawda utworu wymaga odpowiedniej szaty zewnętrznej. Wszak zagranicą — w Hamburgu — w 1773 roku wzbudziło to aż sensację, gdy Ludwik Schröder przygotował do przedstawienia „Götza von Berlichingen” do sztuki dostosowane dekoracje. I na początku XIX wieku niewiele było lepiej. Teatry rozporządzały taką a taką ilością lasów, sal tronowych, świątyń i t. p. i dekoracje te stosowano bez względu na charakter utworu.

Pocóż jednak mówić o początku XIX wieku, skoro wiemy, że kompletów dekoracyjnych używano długo potem. Wszak jeszcze Wyspiański występował przeciwko tym „dekoracjom idealnym, to jest do nieistniejących sztuk w żadnej literaturze świata, np. t. zw. lasowi, sali tronowej, ogrodowi w Schönbrunn, sali myśliwskiej i t. p. niedorzecznościom doskonałym dla teatrów dzieciennych”. Skoro tak było, tym większa jest zasługa Bogusławskiego, że myślał o tej sprawie i często do danej sztuki nowe kazał malować dekoracje.

Jeżeli chodzi o kostium, to od chwili, gdy namówił Bogusławski Hempińskiego do przywdziania takiego ubrania, jakiego wymagał utwór, teatr — w ciągu długoletniej działalności „ojca sceny polskiej” — postąpił znacznie naprzód. Minęły czasy sporadycznych usiłowań Neuberowej, Sallé, Clairon, Favart i innych. Historyczny kostium, propagowany przez Talmę, kostium, dostosowany do roli zyskiwał coraz większe prawa obywatelstwa. Bogusławski, który zawsze dążył do prawdy na scenie, dbał też o historyczność kostiumu.

Nie zawsze jednak postępował Bogusławski w myśl tych zasad. Jak niejednokrotnie to i owo — a przede wszystkim pamięciowe opanowanie ról — szwankowało w teatrze Bogusławskiego, tak samo zdarzało się, że najniestosowniej dobierano dekoracje i kostiumy, wskutek czego np. w starożytnym Rzymie w oknach widziano markizy, w Kijowie drzewa palmowe i figi, strój cara przypominał suknię arlekina i t. p.

Nie były to częste wypadki, ale zdarzały się. Jest to zrozumiałe, gdyż teatr nie doszedł jeszcze do tej koordynacji poszczególnych elementów, której wymaga nowoczesna reżyseria, a poza tym pośpiech, z jakim często wystawiano sztuki, nie pozwalał na wprowadzenie w praktyce tego, co głosił Bogusławski jako *pium desiderium*.

Bogusławski stworzył podwaliny i na tym polega jego zasługa jako reżysera.

Nauczył on aktora gry naturalnej, wpajał w niego zasady, że aktor nie jest na scenie dla własnego tylko popisu, lecz dla całości przedstawienia. Dążył do wytworzenia własnego, polskiego stylu gry scenicznej. Na scenie Bogusławskiego występowali i wybitniejsi od niego aktorzy — wystarczy wymienić nazwiska Owińskiego i Ledóchowskiej — znaczenie jednak pracy aktorskiej Bogusławskiego było potężniejsze, gdyż praca ta sięgała w przyszłość i łączyła się z całokształtem jego działalności teatralnej.

A nakazem tej działalności było wytworzenia typu polskiego aktora. Na tym polega czyn artystyczny i zasługa Bogusławskiego jako artysty teatru, który „grających na czas późny stworzył“.

LEON SCHILLER

W DWORKU NA NOWOLIPKACH

**SŁUCHOWISKO KU UCZCZENIU PAMIĘCI WOJCIECHA BOGUSŁAWSKIEGO
(Z CYKLU: „KURANTY”)**

OPOWIADACZ Panie i Panowie! Nie sarkajcie na nas, gdy co pewien czas do uszu waszych z tej rozgłośni dobiegać będą melodie wcale od dzisiejszych odmienne i słowa, jakich rzadko w potocznej używacie mowie. Nie zamykajcie aparatów waszych, gdy zmiarkujecie, że nowiny, że myśli, które wam przesyłamy, są już nieaktualne, że zawiadamiamy was o zdarzeniach z przed lat stu, że niema nic modnego, nic emocjonującego w tych naszych transmisjach z za grobu czasów. Posłuchajcie, ot tak dla próby, choćby jednej takiej transmisji, a wierzymy, że z czasem w nich zagustujecie, że staną się waszem przyjemnem wytechnieniem, może nałogiem. Jakiż jest cel takich wojażów do krainy przeszłości? Chwalba epok minionych? Odwrócenie uwagi od smutków i nieszczęść dnia dzisiejszego! Ach, nie! Nie chcemy poić was tak sentymentalnym, w gruncie szkodliwym bletkiem. Myślimy tylko, że pożyteczną rzecz czynimy, budząc w sercach waszych uczucia każdemu synowi ziemi przyrodzone, uczucia niezniszczalne, choć często stłumione, nienazwane, do których przez wstyd fałszywy nie chcemy się przyznać. Są to te uczucia, jakich starzy i młodzi doznają, gdy natkną się na jakąś małą pamiątkę dni umarłych, dni zapomnianych, którym wszakże coś dobrego, coś miłego zawdzięczamy. Są to uczucia przyjemne, bo pozwalają widzieć rzeczy trudne nieraz do zobaczenia: naprzykład nas samych w czasach i miejscowościach, w których nigdyśmy nie żyli. Dzięki tym uczuciom, zdobywamy także czarodziejską moc widzenia po ciemku: oto przedmioty martwe, niepozorne, do pośledniego użytku służące, a czasem zgoła bezużyteczne, w mroku powszechnej niepamięci pograżone, zmieniają raptem swe kontury, innego sensu nabierają i jest nam

zuów przyjemnie, gdy się przekonamy, że najlichsza nawet rzecz swoją wartość, swoje piękno i głębsze znaczenie posiada. Uczucia te, jakby na zakłęcie guślarza, łączą nas z „Dziadami“ naszymi, przedłużają życie nasze o całą wieczność i dolę sierocą znośniejszą czynią. Weselej żyć przecież temu, kto wie, iż wszystko co ukochał, wszystko co kształt jego duszy wypracowało, pozornie tylko odeń odeszło i każdej chwili powstać z martwych może; że każdej chwili dawność, której dziedzictwa zapierać się nie warto, może stanąć przed nami jak żywa — ku przestrodze lub ku pociesze.

Stare druki, sztychy, gwasze, rękopisy, dagerotypy, piosenki, jak kuranty pokutujące w stuletnich zegarach, mają tę siłę guślarną. Panie i Panowie, posłuchajcie dziś kurantu, co was połączy z Mężem, którego pamięci w dniu dzisiejszym Polska hołd oddaje, z tym, co Zwierciadło Życia — Teatrem zwane — pierwszy narodowi swemu pokazał, co ze sceny narodowej trybunał sumień uczynił i narzędzie sprawiedliwego rokoszu! Z Wojciechem Bogusławskim! Dzieje sceny ojczystej, a może i powszechne, nie znają równie wspaniałej postaci.

Powiedziano o nim:

*Krzywdzące głos ojczysty mniemania umorzył,
Pisał, grał i grających na czas późny stworzył...*

Lecz epitańum to nie sławi wszystkich jego cnót i zasług. Bowiem nietylko kunsztom trud swego życia On poświęcił — w czasach upadku Rzeczypospolitej i w czasach niewoli walczył, jak żołnierz, o polityczne i duchowe odrodzenie Ojczyzny — walczył odważnie i zwycięsko, choć tylko scena służyła Mu za plac bitwy. Czynem swym dał przykład, czem teatr polski być winien i jaka moc w nim utajona.

Dokonał tego przed Romantykami naszymi i przed Wyspiańskim.

Co zwłaszcza podziw nasz budzić musi, to wyborna harmonja ponad-narodowości z narodowością, znamionująca całą Jego, tak wszechstronną działalność.

Ten żarliwy patrijota, w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu, był zarazem świetnym Europejczykiem. Pierwszy wolen był od wszystkich śmiertelnych i powszednich grzechów sarmatyzmu, drugi nic nie miał wspólnego ze snobami owych czasów.

To także upodabnia go do późniejszych sceny polskiej opiekuńczych duchów.

W posepnym zaiste dniu, bo 22 lipca r. 1829, zawrzemy z nim znajomość. Siedemdziesięciodwuletni starzec, udręczon ciągłą walką o byt teatru, syt upokorzeń i prześladowań, jakich mu swoi i obcy nie poskapili, po niezliczonych peregrynacjach po całej ziemi polskiej, po ustawnie podejmowa-

nych próbach odbudowywania i ulepszania sceny narodowej, którą burze dziejowe i głupota ludzka raz po raz rozwalają, smętny, bo już godzina pożegnania wszystkiego co umiłował się zbliża, szczęśliwy, bo przeżył wszystkie niemal swe marzenia, krom kilku w daleką przyszłość wybiegających — umiera w Warszawie, w białym dworku na Nowolipkach, według własnego pomysłu w smaku epoki przebudowanym, ozdobionym na frontonie płaskorzeźbą Muzy dramatyczne wyobrażającą, z nadpisem: „Parva sed apta“.

Zbliża się wieczór — godzina, o której Teatr Narodowy zwykł swe reprezentacje rozpoczynać. Dziwna, teatralna niemal, czerwień, złotemi przetykana pasmy, prawie pół horyzontu załuniła i jeszcze jej starczyło na blaski, któremi rudery przedmiejskich biedaków krasie.

Jakby z za kulis, z daleka dobiega głos dzwonu.

Lecz żałobniej jakoś brzmi dziś Anioł Pański.

Na scenę reprezentującą ów biały dworek, podobny nieco do świątyni starożytnych, z teatrowych dekoracyj Plersza lub Smuglewicza — wchodzi trzy postacie.

Na pierwszy rzut oka widać, że to aktorowie. Młodzieniec przyjemnej prezencji; jegomość wieku nieokreślonego, z dobrze wypielęgowanym brzuszkiem i dama, dwudziestokilkuletnia, której twarz jednak przeżycia sceniczne dojrzałą uczyniły.

Skrzypnęła furtka — trójka aktorów weszła do ogródka, okalającego białą pustelnię ich Mistrza... Cicho, najciszej jak tylko można, stąpają po żwirze... Weszli do obszernego pierwszego pokoju, od podłogi po sufit zawieszono podobiznami najznamienitszych aktorów i dramatopisów, oraz sztychami, sceny różnych dram i tragedji wystawiającami.

Na kominku między popiersiem Moljera i Szekspira stoi zegar-staruszek i ochryplym nieco głosem kurant cogodzinny śpiewa...

AKTORKA Słyszycie? To jego ulubiona piosenka. Śpiewka studenta Bardosa z „Cudu mniemanego“...

AKTOR I Śpiewał ją jeszcze tak niedawno w Wilnie i budził szczery zachwyt na amfiteatrze...

AKTOR II Lubił ją także nucić w różnych życia swego okolicznościach. Za kulisami, na próbach, w kafenhauzach i traktjerniach z Ludwikiem Adamem Dmuszewskim i starym Żółkowskim. Słodził sobie w ten sposób kłopoty i troski, stosownie do wypadków strofki odmieniając.

*Świat srogi, świat przewrotny,
Na opak wszystko idzie,
Kto nie wart, pan stokrotny,
A człek poczciwy w biędzie.*

*Lecz rozum górę bierze,
Tem sobie życie słodzę,
I ja porosnę w pierze,
Choć dziś bez butów chodzę.*

*Im sroższy los nas nęka,
Tem mężniej stać mu trzeba,
Kto podło przed nim klęka,
Ten nie wart względów Nieba.*

*Na górze mieszka Sława,
A szczęście jeszcze wyżej,
Lecz gdy chęć nie ustawa,
Wnet człek się do nich zbliży.*

AKTORKA Mój Boże, wierzyć się nie chce, że „już, już — jak wczoraj pono powiedział — zapada życia jego zasłona“. Tak się przywykło widzieć go za kulisami, w łóży podczas spektaklu — inaczej próbowaliśmy, inaczej się grało, gdy wiadomo było, że Bogusławski patrzy...

AKTOR I Jeszcze przed dwoma laty aplaudowała go Warszawa, gdy w „Koszyku wisien“ w roli Fryderyka Wielkiego wystąpił...

AKTOR II Wy go nie pamiętacie, ale ja, com od dziecka na grę jego patrzył, wiem, co to był za aktor, jak umiał w grze swej łączyć klasyczny styl francuski z naturalnością niemieckich i angielskich komedjantów, jak piękno z prawdą na teatrze żenił, jak nigdy nie przestawał być sobą. A ta wszechstronność jego genjuszu aktorskiego! Toć on w odtwarzaniu postaci komicznych z pocziwym ś. p. Alojzym Gonzagą („Cyrjakiem Kryspinem“) Żółkowskim nieraz mógł się mierzyć, a w drammach i tragedjach zedł o lepszą z Roscuszem naszym, Owsińskim, i polskim Garrikiem, Marcinem Szymanowskim.

AKTORKA A czy to prawda, że kiedyś tak ślicznie jak nasz Szczurowski śpiewał?

AKTOR II Twierdził wprawdzie, że jak był „prawdziwym literatem z biedy“, by repertoarz sceny narodowej na jakiej takiej wyżynie postawić, tak też i śpiewakiem z biedy został. Ale to tylko skromność przez niego mówiła, bo w rzeczy posiadał głos przyjemny, na włoskich ukształcony wzorach. Jako basista podejmował się najtrudniejszych partjów, celował zwłaszcza w rolach buffo caricato. Ale gdy zaszła potrzeba, musiał mutację w swym głosie przeprowadzić i w tenorzystę się zmieniał. Wszyscyśmy zresztą to robili. Inaczej nie byłoby się nigdy z Warszawy przepędziło włoskich kwiczołów, a publiczność do krajowych artystów nigdy nie byłaby nabrała zaufania! Jakże! Nie pamiętacie, co nasz dyrektor, zięc pana Wojcie-

cha, tragedjopis i profesor literatury w jednej osobie, pan Ludwik Osiński mówi o tem, jakie to zgorszenie w świecie modnickich, trzpiotalskich, szarmanckich i firecyków za króla Stanisława powstało, gdy po raz pierwszy polscy aktorowie ważyli się śpiewać operę Salieri'ego p. t. „Axur, król Ormus“.

AKTORKA Pamiętam: przecież to w wierszu mnie, młodziutkiej adeptce podówczas, dedykowanym szanowny klasyk napisał:

*Przed kilkunastą laty, któżby się spodziewał,
Że Polak, równy Włochom, będzie kiedyś śpiewał,
Mniemano, że się na to oburzy natura,
Gdy pierwszy raz wielkiego grać miano Axura!*

AKTOR II Dzięki uporowi naszego Mistrza, który sam poezje stosowne do śpiewów i całe nawet dramaty i komedje układał, sam aktorów do kunsztu śpiewaczego sposobił, komponistów do tworzenia dzieł narodowych zachęcał, najprzedniejszych kapel- i balet-magistrów oraz ozdobników teatrowych dokoła siebie skupiał — z niczego, jak Minerwa z głowy Jowisza, zrodziła się u nas opera polska, nie zabawę płochą, ale narówni z tragedjami cel poważniejszy mająca na widoku: krzepienie serc rodaków i hartowanie ich do boju o Nową Polskę...

AKTORKA Nigdy nie mogłam się dość nadziwić, jakim to cudem udało się naszemu Mistrzowi ze Słowaka Macieja Kamińskiego, z Czecha Stefaniego i Niemca Elsnera arcypolskich komponistów zrobić — przecież ich opery, komedjo-opery i wodewile pełne są tak posuwistych polonesów, tak ochoczych obertasów i krakowiaków, że przysięgłbyś, iż się w jakim dworku mazowieckim, pod strzechą wieśniaczą albo w karczmie urodziły.

AKTOR II Taką to już moc czarnoksięską ma Bogusławski w sobie, że wszystko czego się tknie polskiem się staje. Toć pan Elsner dyssertacje uczzone teraz o metryczności języka polskiego pisze, dowodząc, że się on do śpiewów wcale nadaje, w co ongi za Boga nie chciano wierzyć. Stefani za namową jego, gdy do „Cudu mniemanego“ piosenki miał komponować, wziął kostur w rękę i od wioseczki do wioseczki wędrował, podsłuchując sielskich wesołuchów, przypatrując się taneczkom i różnym obyczajom gminu naszego. A pocziwina Kamiński, do końca życia z kiepska po polsku mówiący, czyż na partyturze „Nędzy uszczęśliwionej“ nie napisał: „Te śpiewy po modnemu nie są skomponowane dla krytykusów, ale dlatego, aby także Polacy śpiewali“.

AKTORKA To też śpiewa je dziś cała Polska. Piosneczki Bogusławskiego, i te wesołe i te rzewne, z Teatru Narodowego popłynęły na całą Polskę: śpiewają je i w Wilnie i w Poznaniu, w wolnem mieście Krakowie

i we Lwowie, obydwu Galicjów stolicy, w Grodnie, Dubnie, w najlichszych nawet mieścinach, wszędy gdzie tylko Mistrz nasz z kompanją swych aktorów dotarł, wszędy gdzie miłość świętą słowa polskiego i kochanej Ojczyzny wśród pocziwych umysłów szerzył. Śpiewają je dziś studenci i o rewolucji narodowej marzący literaci w kawiarence pani Honoratki i aż mróz po kościach idzie, jak z tych napozór niewinnych przyspiewów utajony w nich sens patryjotyczny na wierzch wydobywają, bo przecie Belweder nie śpi — szpicle Konstantego za darmo pieniędzy nie biorą. Śpiewa je także rzemieślnik na Starem Mieście i na Pradze, czekając, rychło nowy Kołłątaj albo Kiliński do insurekcji naród warszawski wezwą.

AKTOR I Tak wszystko czego się tknął, polskiem się stawało. Wszędzie aluzje do okoliczności narodowych czynił, nietylko w sławnych swych, rewolucyjnych „Krakowiakach i góralach“, ale i w „Henryku VI na łowach“, ale i w melodramie, sinfonjami, baletami, pantomimami, bitwami, apoteozami i rozlicznymi tego rodzaju mamidlami okraszanej, „Izkahar“ nazwanej i dziejącej się niby w królestwie Peru, a w rzeczy niedolę rozdartej ojczyzny naszej oplakującej i wzywającej do zemsty.

Gdy zabrakło dzieł przez polskich scenopisów tworzonych, chwycił sam za pióro i obce komedje na polską modłę przerabiał. „Wszystkie obyczajowe komedje — mówił — powinny mieć za cel poprawę obyczajów własnego narodu. Cóż nas mają obchodzić obcych nałogi i wady?“. Brał przeto angielskie, niemieckie lub francuskie widowiska, akcję ich do Polski przenosił, sytuacje dla nas prawdopodobnymi czynił, a charaktery częstokroć wzbogacał rysami u rodaków postrzeżonemi, lub wręcz je z natury kopjował.

Ta jego wiara w konieczność nadania scenie polskiej własnego oblicza nie pozostała bez echa. Kto wie, ile mu zawdzięczają Prezes Julian Ursyn Niemcewicz albo Wybicki, Wężyk czy Łubieńska? Kto wie, czy ich komedje i tragedje byłyby taką rolę w życiu narodu odegrały, czy odważyłyby się biczem satyry najohydniejsze wady społeczne chłostać, czy marmurowa i alabastrowa poezja naszych klasyków zdobyłaby się na krwawe rumieńce buntu, gdyby Bogusławski własnymi dziełami i stylem reprezentacyj teatrowych nie był dowiódł, że najsilniej na spektatorów ten tylko teatr działa, który jest żywy, ich krzywdy, grzechy i cnoty odzwierciedla i o ich dobro walczy.

AKTOR II Tak żył i tworzył Bogusławski, taka była jego scena. Ten „arcyrewolucjonista“, jak go Prusacy nazywali, wkroczył na teatrum z pochodnią buntu słusznego, podsycając ogień Ideału, na ołtarzu ludzkości wiecznie płonący. Czujny strażnik tego ognia, nie dał mu zgasnąć, choć olbrzymia część narodu w senniej pograżona była drętwością. Za Stanisła-

wa Augusta do wściekłości doprowadzał obrońców starego porządku, targowiczam, tem, że się za prądem opowiadał, co na gruzach paryskiej Ba-stylji czy posiedzeniach klubów jakobińskich miał swoje źródło i hasła równości powszechnej otwarcie ze sceny głosił. Niósł on ten ogień nowotnego życia wszędzie, gdzie go losy tułacze zawiodły. Więc po upadku Królestwa we Lwowie krew psuł austriackim gubernatorom, po kilku latach gorącej patryjotycznej i rewolucyjnej akcji przez teatr prowadzonej, znów się w Warszawie zjawiał, by ściągnąć na siebie gniew pruskiej kamery za niepoprawne szczucie widowni przeciw najeźdźcom. Gdy mu występować na teatrze, a nawet przebywać za kulisami zakazano, różnych używał forteli, a przecie swoje robił. Tym samym ogniem rozświetlił rzęsiście swoją scenę na powitanie wojsk polskich, z Cesarzem Franków do oswobodzonej stolicy przybyłych. Tym samym ogniem ogrzewał skostniałe, zbiedzone rodaków serca w epoce Księstwa Warszawskiego, upominając, by nie kontentowano się ochłapem wolności, wzywając do dalszych bojów o odzyskanie całej Ojczyzny...

AKTORKA Wydaje mi się jednak, że wyliczone tu przez was cnoty obywatelskie naszego Mistrza nie byłyby tak obficie w narodzie plonowały, gdyby nie kojarzyło się z nimi jego artystostwo, jego dzielne kunsztem teatrowym władowanie. Transparent transparentowi nie równy, komedjo-opera komedjo-operze i trajedja trajedji. Ręczę, że najczulsze serca rodaków odwróciłyby się z odrazą od najbardziej patryjotycznych reprezentacyj Teatru Narodowego, gdyby z desek jego wiał odór staroświecczyny i parafjańszczyzny lub gdyby fałsz na nich, nie Prawdę oglądano.

Czyż byłby zdolen teatr nasz taki pożytek sprawie narodowej przynieść, gdyby był pozostał tem, czem był przed Bogusławskim? Pamiętam, co nasz Mistrz na swych lekcjach w szkole dramatycznej mówił o tych czasach, cytując Dmochowskiego:

*U nas przez długie lata teatr był ubogi,
Miejsce jego trzymały szkolne dialogi,
Gdzie w niezgrabnym układzie dla prostej zabawy,
Kiedy pozasiadała liczna szlachta ławy,
Żaki różne czyniły widowiska z siebie,
Udawały, co w piekle dzieje się, co w niebie...*

On ten teatr rubaszny, grubym jeno gustom schlebiający i ciemnocie, a przez Ojców jezuitów prowadzony, on także i dziwowiska, mizerne w swej treści a kosztowne pod względem reprezentacji, wyprawiane po dworach magnackich ku uciechu popuszczających pasa biesiadników, od-twarzane przez aktorów, którymi byli dworscy oficjaliści, ekonomowie

i panny garderobiane lub błazny najęte, gorzej psów traktowane, — on te jarmarcznych linoskoków czy skomorochów hece do tej wyżyny podniósł, do jakiej genjusz Łabędzia Avonu, wielkiego Angielczyka Szekspira, jeno wznieść go zdołał.

AKTOR II Ba! Żebyś ty wiedziała, moja mała Adrjanno Lecouvreur czy Clairon polska, jacy to byli aktorowie, których pan Wojciech prosto z pod bata książąt Sułkowskich czy Lubomirskich, a nawet i z ulicy, do swego teatrum wprowadził. Nie mówię ja o Owsińskim, co w młodych latach, jako dworzanin Prymasa Podoskiego, z nim po Niemczech i Francji wojażował i grę wielkiego Lekain i Schrödera mógł podziwiać! Ale inni, którzy jeno szkolne dialogi i mięsopustne termedyje widywali, a w kunszcie aktorskim boćkowską metodą kształceni byli, cóż za harmider, co za łamańce wyprawiali, gdy im *coram publico* deklamować albo gestykulować przyszło!

Znałem ja jeszcze Imć Pana Karola Boromeusza Świerzawskiego, którego do końca życia w kontuszu chadzał, ozdoby twarzy, wąsów pokrętnych nigdy nie golił, a kazał zwać się zawsze „pierwszym aktorem polskim“, ba! nawet na afiszu domagał się drukowania tego epitetu. Ciekawa rzecz, skąd się wziął w teatrze ten napuszony sarmata z pod najciemniejszej gwiazdy! Oto liznąwszy bodaj-że tylko Alwara w szkołach jezuickich, zapragnął poświęcić się palestrze, lecz nie znając dobrze łaciny, musiał poprzestać na urzędzie woźnego. A tęga mina i zuchowata postać bardzo mu się przydały w profesji, w której nieraz obronną ręką rejterować wypadało, położywszy na progu domu jakiemuś piniaczowi pozew, za co on najczęściej złapanemu na podobnym uczynku Woźnemu bolesną zuchwałości wcielał pamiątkę... Świerzawski umiał zawsze z podobnych opresyj wybrnąć przy pomocy różnych facecyj, dykteryjek i przedrzeźniań strony pozywającej. To zjednało mu sympatję całego trybunału i byłby się może wyższego stanowiska dochrapał, gdyby za jakąś grubą hryję wtrącony do wieży, nie musiał salwować się ucieczką — i wtedy to dzięki trefnym swym żarcikom wlaźł między aktory, na „saskim“ wówczas grywające teatrze.

AKTORKA No i co, jakże dał sobie radę na scenie ten nieuczony woźny trybunalski?

AKTOR II A Bóg go raczy wiedzieć! Pan Niemcewicz i Bogusławski twierdzą, że wystawiał kopją samego siebie, grając albowiem rubasznych owego wieku Polaków, on, który *liberum veto* i elekcję królów jak żrenicę oka kochał, występował zawsze w zwyczajnym sobie stroju narodowym, z potężnymi wąsiskami pod nochalem, ruszając się posuwisto

i zamaszysto — nie potrzebował żadnej sztuki, oprócz samej natury pomocy...

AKTORKA A czy dawano mu także inne role?

AKTOR II Dawano, nie dawano — sam je brał, ten ról połykacz! Aż się w dwóch nieśmiertelnie zbłąźnił...

AKTORKA No, no... ciekawam...

AKTOR II Raz to było w „Cyruliku Sewilskim“ Beaumarchais'go. Chapnął rolę Bartola. Aliści, dziwaczną i niezrozumianą dla się wystawiając postać, bez żadnego nad znaczącymi wyrazami zastanowienia, nadaremno zwyczajną rubaszością chciał grę swoją krasić... W najważniejszych scenach nieestosownymi do rzeczy gestami wszystko psuł i mącił, aż wreszcie jedną scenę tak powikłał, że nietylko słuchacze zrozumieć tej sceny, ale nawet aktorowie dokończyć onej nie mogli... (*Śmiech Aktorki*)

AKTOR I Cicho... cicho... wiesz przecie, że pan Wojciech zasnął... Znam ja inną o grze jego relację z ust starszych kolegów...

AKTOR II Pigmaljon — co?

AKTOR I Uhm! Zachciało się raz temu błaznowi z urodzenia, co nawet o urząd błazna króla Stanisława prosił, ale napróżno, bo mu król odpowiedział, że woli poważnymi otaczać się ludźmi... otóż zachciało mu się w tragicznej roli sił spróbować. Wybrał tedy na swój benefis liryczną scenę JP. Jana Jakóba Rousseau, suto muzyką okraszoną, p. t. „Pigmaljon“. Afisz, przez niego samego ułożony, zapowiadał, że „Świerzawski, pierwszy aktor polski, pragnie okazać publiczności, iż kiedy angielski aktor Garrick potrafił razem w komicznej i tragicznej grze zjednać sobie sławę, tedy i Polak może tego dokonać“. I dokonał! Publiczność zwała się na ten spektakl hurmem, ciekawa, co to będzie!

Wyszedł nasz bywszy woźny na scenę, ubrany po grecku, z wąsami lekko przypomadowanymi i źle upudrowanymi, owinięty długim płaszczem, by różnych nieklasycznych części ciała, a osobliwie krzywych nóg nie pokazywać. Pierwsze wiersze jako tako mu się udały. Zaczem publiczność podczas przegrywki muzycznej gromkim obdarzyła go aplauzem. To ożywiło nieco naszego bohatera i naraz zjawił się na jego pucołowatej facjacie jakiś krotofilny wyraz, który nie uszedł uwagi widzów i do lekkiego śmiechu ich pobudził... Stropił się tem nieborak, ale za chwilę odzyskał kontenance i gniew wielki udając, wrzasnął: „Idźcie precz, narzędzia niesprawne“ i olbrzymim zamachem wyrzucił aż za kulisy dłuto i młotek snycerski. Wtedy już na parterze, w łóżach i na paradyzie, niczem nie skrępowane, powstało *gaudium*, które tak pomieszało nowego Garricka przytomność, że już od tej chwili trudno mu było powrócić do spokojnego roli swojej wykonywania. Chęć coraz większego wydania gniewu, rozpaczy, obłąkania, a co naj-

bardziej miłości, tak się w twarzy jego pociesznymi wydawały, że nieskończone widzów prawie po każdym wierszu oklaski dowodziły ich najprzymniejszego zadowolenia z tej tragicznej parodji. Zrozumiał to Świerzawski, a nie chcąc się dłużej na podobne wystawiać żarty, tak szybko jedno po drugich trzepał wiersze, że go ani sufler złapać, ani orkiestra dogonić nie zdołała. Nie mogąc się na koniec doczekać zejścia z podstawy posągu Galatei, którą odtwarzała także komiczna aktorka — porwał ją Świerzawski wpół i obiema rękami postawił na środku sceny. A gdy padłszy, jak długi, do jej nóg, domówił resztę swej roli, a osłupiały sufler zapomniał zadzwonić na spuszczenie kurtyny — niefortunny kochanek ryknął na maszynistę: „Spuszczaj kurtynę, bałwanie jeden!” — i na tem swój tragiczny zawód zakończył! (*Śmiechy. Słychać dzwonek z drugiego pokoju*)

AKTORKA Chryste Panie! Cośmy zrobili! Obudziliśmy pana Wojciecha — a ten sen był może jego zbawieniem...

SŁUŻĄCY Pan dyrektor prosi Ichmość państwa... (*Zegar gra ten sam kurant. Aktorowie weszli do sypialni. Stanęli przy łożu chorego Mistrza*)

BOGUSŁAWSKI Jak się macie, moi drodzy... Jak się masz, Horacjuszu, witaj, Pumperniklu przebrzydły, ale wyborny mój Miechodmuchu... O, i ty przyszedł do mnie, Fanszetko, Basiu i Emiljo Galotti w jednej osobie... „Witajcie mi w Elsynorze, każę Polonjuszowi z najwyższym respektem was traktować, bowiem wy jesteście żyjącymi kronikami wieku“... jak dalej... nie pamiętam...

AKTOR Ii lepiej byłoby dla ciebie mieć po śmierci niepodchlebny nagrobek, niżeli za życia ich złą o tobie perorę...”

AKTOR II Potem moja replika: „Będę się obchodził z nimi, jak za służącą...”

AKTORKA Dopuszczcież i Ofelję do głosu...

„Odziany szatą, jaką nosi zrana,
Wpuścił do izby dziewicę nadobną,
Lecz wkrótce smutna i łzami zalana
Do tej, co weszła, wyszła niepodobną...”

AKTOR II (*b. niskim głosem*) „O, nader czuła Ofeljo!”

AKTORKA „Zdrajco, Miłości skarże cię bogini,
Że tak obłudnie postąpiłeś ze mną,
Każdy kochanek podobnie uczyni,
Gdy znajdzie porę i miłość wzajemną.

Dobranoc, kochane damy, piękne damy, dobranoc. Adieu, adieu“ — wychodzi na lewo...

BOGUSŁAWSKI Co, i to pamiętasz? No widzę, że umiecie jeszcze

Hamleta i nie psujecie mojego tłumaczenia swojemi dodatkami... Cóż, grywacie go często?

AKTOR I Wcale go nie gramy...

BOGUSŁAWSKI A klasyków naszych i cudzoziemskich też nie?

AKTOR II Nie... bo dyrekcja woli, dla kasowych względów, balety, krotochwile czarodziejskie ze śpiewami i tańcami, albo wystawne, a płaczliwe i do życia prawdziwego niepodobne dramy...

AKTORKA Jużemy i po ludzku mówić zapomnieli, tak nam krzyczeń w niebogłosy każą i tak kulisy gestami przesadnemi rozrywać...

BOGUSŁAWSKI To źle, to bardzo źle... Widzę, że mój zięć, profesor Osiński, przeholował w bojażni o kieszonkę — ja też nieraz przed złym gustem publiczności kapitulować musiałem... ale przecie nie tak... No, ale też jestem goły, królowo moja, jak święty turecki...

Żal mi was, moi drodzy, zbyt wątłe już siły moje nie pozwalają mi nadal służyć wam tem, co wieloletnią pracą zdobyłem. Pamiętajcie o radach księżęcia duńskiego Hamleta, danych aktorom...

AKTOR I „...Niech ton głosu twojego będzie naturalny i płynny, jaki bywa w zwyczajnej rozmowie...”

AKTOR II „...bo jeżeli masz nadętym tonem, jak wielu waszych aktorów, perorować moje wiersze — to wolę raczej, żeby jaki nocny stróż po ulicach je wrzeszczał...”

AKTORKA „Niechaj gra twoja idzie za poruszeniem uczucia, a wszystko dobrze będzie — z tą zawsze uwagą, abyś nie przechodził granic natury, bo wszystko, co się od niej oddala, oziębia patrzących...”

RAZEM „Zamiarem sztuki waszej jest: wystawiać przed oczy widzów zwierciadło prawdy...”

BOGUSŁAWSKI. Brawo! brawo! Widzę, że głęboko wryły się wam w pamięć słowa Hamleta, do waszych potrzeb przeze mnie dostosowane...

Tak, tylko prawdzie winien służyć teatr — ale jakże scenie narodowej do prawdy jeszcze daleko!

Autorowie nasi wciąż tłumaczą i przerabiają różne arlekinady, kasperljudy, drammy, melodrammy i tramelogedje. Kiedyż wreszcie przyjdzie czas, że zaczną pisać oryginalne sztuki, wystawiające życie własnego narodu, sztuki, w których Polak będzie mógł być Polakiem, nie przebranym za Polaka rodakiem pana Mercier czy Kotzebue!

Ale i wy sami, najmiłsi, nawet w polskich sztukach często przeciw prawdzie grzeszycie.

Serce mi się kraje, gdy czasem, patrząc zza kulis lub grając z wami, postrzegam martwość na scenie. Jeszcze ci, którzy tekst swój wygłaszają, starają się sprawiać niejakić życia omamienie, ale jakże się zachowują ci,

co nie biorą w dialogu udziału, a ponieważ akcja tego wymaga, muszą być na scenie! Zdarzyło mi się widzieć takich, co z obojętnością rozmawiali między sobą w ten czas, gdy ktoś obok nich rozpaczał lub umierał... A przecież taka nieprzyzwoitość drażni widownię... Pamiętajcież, że powinnością jest nie grających a przytomnych na scenie aktorów, wyobrażać takie same postawy i poruszenia, jakieby mieli, gdyby rzeczywiście się znajdowali przy zdarzeniu takowem, na jakie patrzą...

AKTORKA Pamiętajmy wszystkie rady twoje i nauki, panie dyrektore... A ponieważ od dwóch lat nie odwiedzasz naszego teatru...

BOGUSŁAWSKI Stary już jestem i bardzo zmęczony...

AKTORKA Więc w chwilach od pracy wolnych czytamy twoje dzieła dramatyczne w dwunastu tomach, tak ślicznie u bibljopoli i typografa Królewskiego Uniwersytetu pana Glücksberga wydane...

BOGUSŁAWSKI Czytacie te moje ramoty, naprawdę? A ja myślałem, że tylko ryciny pana Stachowicza oglądacie...

AKTOR I Ryciny są piękne, to prawda, ale piękniejsze i mądrzejsze są uwagi twoje, dyrektorze, nad każdą sztuką, albo życiorysy aktorów...

AKTOR II A już przedewszystkiem Dzieje Teatru Narodowego, ta istna martyrologja sceny polskiej...

BOGUSŁAWSKI O tak, prawdziwie męczeńskie to są dzieje — wszelako nie brak w nich i jaśniejszych kart, choć posępna burza wówczas nad krajem wisiała... Wiecie wy, co mi się śniło, zanim obudziliście mnie waszym śmiechem... Ale, ale: z czegoście się tak śmieli...?

AKTOR II Opowiadaliśmy jej kawały o Świerzawskim.

BOGUSŁAWSKI Dajcie umarłym pokój...

AKTOR I A jaki to sen miał dyrektor?

BOGUSŁAWSKI Śniło mi się... że po raz wtóry podróż przez życie odbywam, że znów te same przeciwieństwa gnębią mię Fortuny, znów ze starostami piaseczyńskimi, królewskimi kamerdynerami, z przedsiębiorcami cudzoziemskimi, z urzędnikami oraz zaborczych rządów, a przedewszystkiem z rodaków własnych ciemnotą i obojętnością o powagę i dostojeństwo sceny narodowej walczę; że znów, jak ten żołnierz-tułacz, od miasta do miasta wędruję, przymierając głodu czasem; że znów lichwiarze, komornicy i złodziejaskowie pozbawiają mnie księgozbioru teatralnego, kosztownych ubiorów i dekoracji; znów dla mamony, obiecaney przez chytrych, dybiących na moją zgubę antreprenierów, opuszczają mnie moi najukochańsi aktorowie; że dnia jednego tylko z jednym członkiem dawnej kompanji zostaję i nie tracąc nadziei, mówię mu: *nos duo turba sumus*; że potem znów się koło mnie gromadzi rzesza marnotrawnych synów, o nowych obłąkańców pomnożona; że gorycz wszystkich rozczarowań cukrują mi takie lube

momenta, jak ten, kiedym w „Henryku VI na łowach“ amfiteatr ideą równości wszystkich stanów poruszył, lub gdym w moich „Krakowiakach“, na dni niewiele przed racławicką wiktoryą napisanych, potrzebę uwłaszczenia ludu wiejskiego głosił...

Śniło mi się, że w Warszawie, Wilnie, Poznaniu i w podwawelskim grodzie, wszędzie budują takie teatra, jak ten we Lwowie, w ogrodzie książąt Jabłonowskich, sub love, pod gołym niebem w kształcie rzymskim utworzony, mogący pomieścić bezmała 3 tysiące widzów, nadający się do reprezentacji potężnych widowisk, które zdolne są spektatorjum dać niejakię wytchnienie i naukę...

Śniło mi się, że już się ziściło moje marzenie najdroższe: że powstał w stolicy teatr dla ludu, który grywa sztuki najbardziej do jego potrzeb duchowych przystosowane, o jego codziennych i niecodziennych sprawach mówiące... Że teatr ten śmiesznie tani, a może nawet bezpłatny, połączony jest z ogrodem, w którym mieszkańcy Nadwiśla i innych wyrobniczych dzielnic w dni świąteczne zbierają się na zabawy i kończą one na widowiskach, wchodząc prosto z parku do teatru...

Śniło mi się, że scenopisarze nasi wreszcie uwierzyli, iż scena jest najdzielniejszą obyczajów szkołą, a aktorowie — iż niema piękniejszej sztuki, niema chlubniejszego powołania, niema poważniejszej służby społecznej niż zawód aktorski...

I śniło mi się, że stanęła przede mną u schyłku tego powtórnego żywota Muza moja i zapytała mię: Wojciechu Bogusławski, chceszli po raz trzeci, w przyszłym ducha twego wcieleniu, teatrowi polskiemu siły swe ofiarować?

A jam odpowiedział, że chcę, że tysiąckroć razy tysiąckroć większe trudy będę podejmował, byłem scenę narodową na tej wyżynie zobaczył, na jaką — jak mi głos wewnętrzny mówi — ona jedna z pośród wszystkich wznieść się zdolna...

Na to ona rzecze: Cóż masz z twych starań o świetność sceny ojczytej? Kiedy już przestałeś być użytecznym publicznej sprawie, wiele pism przesadza się w dowodzeniu, że nim wcale nie byłeś. Mała odrobina sławy zdawała się im być za wielką tyloletnich prac twoich nagrodą. Z torbami i kijem żebraczym, niczem Król Lear Szekspirowy, teatr narodowy opuściłeś, a dziatwa twoja nie uroniła ani jednej łzy, w takim cię widząc stanie...

Odrzekłem jej: Nie utyskuję na mój niedostatek, bo nigdy nie szukałem bogactw. Szlachetniejszym powodowany uczuciem, wszystko, co w pomyślnych czasach wziętem od publiczności, oddałem jej w krytycznych... Tedy ubóstwo moje ani mnie wstydzi, ani zasmuca. Dla kilku pozostałych dni, a może godzin, życia mało potrzebuje.

Uniosłem ja w moje ustronie, tu na Nowolipkach, dwa nieocenione skarby: spokojne sumienie i to najdroższe przekonanie, że — ile w mocy mojej było — dopełniłem obowiązków stanu, w którym mnie przeznaczenie mieć chciało. Sławę moją zostawiam zdaniu potomności; a jeżeli w sercu choć jednego prawdziwego Polaka pozyskam wdzięczne starań moich wspomnienie, jeszcze na tamtej stronie grobu szczęśliwym będę...” (*Znów zegar gra kurantową piosenkę*)

AKTORKA Zasnął — patrzcie, jaki uśmiech błogi zakwitł na twarzy tego Rzymianina. Trzykroć szczęśliwy ten, co schodząc z ziemskiego teatrum, takim go żegna uśmiechem...

AKTOR I Patrz: teraz jakaś chmura przez oblicze jego przeleciała — znów może troska o naszą świątynię...

AKTOR II I znowu rozpogodziło się czoło szlachetne...

AKTORKA Coraz ciszej oddycha — uśmiech nie schodzi mu z ust... Cicho, zdaje mi się, że on...

AKTOR I ...Odszedł od nas.

AKTORKA Nie odszedł... nigdy nie odejdzie... póki scena ojczy ta trwać będzie, zawsze duch jego wcielać się będzie w tych, co jej życie całe bez reszty, bez wahania poświęcą, wierząc w jej piękno i wielkość...

AKTOR II (*nuci przez łzy, pod wtór muzyki kurantowej*)

Nie mądry, kto wśród drogi

Z przestrachu traci męstwo;

Im sroższe ciernie, głogi,

Tem miłsze jest zwycięstwo.

WASSAN - GIREJ DŻABAGI

ZAGADNIENIE ARABSKIE

Rozruchy palestyńskie, podpisanie we wrześniu w Paryżu układu pomiędzy Francją a Syrią w sprawie zniesienia mandatu francuskiego nad tym krajem, zawarcie w sierpniu b. r. w Londynie traktatów przyjaźni i przymierza angielsko - egipskiego, na których podstawie Wielka Brytania wyrzeka się protektoratu nad Egiptem, ruch narodowy we francuskich koloniach północno - afrykańskich, — tyle zdarzeń w ciągu dwóch miesięcy ostatnich przyciąga, naturalnie, powszechną uwagę do zagadnienia arabskiego, do tak zwanego ruchu panarabskiego. Z drugiej strony — wydarzenia powyższe świadczą wyraźnie o tym, że istotnie świat arabski, poprzez Azję Mniejszą, półwysep Arabski i całą Afrykę północną, liczący około 60 milj. ludzi, znajduje się w stanie niezwyklego rozwoju politycznego, że w świecie tym odbywa się proces odrodzenia znaczenia i potęgi Arabów z czasów średniowiecznych, gdy kalifat arabski rozciągał się od oceanu Atlantycznego aż do Indyj Brytyjskich, a więc był jednym z największych ze znanych w dziejach ludzkości organizmów państwowych. Dodamy, że obecny ruch w określeniu samych Arabów jest jedynie nawiązaniem do dawnych tradycji, do dawnego mocarstwowego stanowiska, do dawnej świetnej cywilizacji, stanowiącej w znacznej mierze źródło współczesnej kultury narodów zachodnich. Ruch arabski jest zatem, w mniemaniu Arabów, jedynie renesansem w sensie politycznym i kulturalnym. Z tego przedświadczenia Arabowie czerpią zachętę do obecnych swych dążeń narodowych i postępowych. W tych warunkach zagadnienie arabskie nabiera znaczenia międzynarodowego, interesuje nie tylko mocarstwa kolonialne, jak Anglię i Francję, lecz i całą Europę, wszystkich, posiadających jakiekolwiek zainteresowania pośrednie lub bezpośrednie na Bliskim Wschodzie i w basenie morza Śródziemnego.

Ruch arabski łączy się, z drugiej strony, z ogólnym ruchem islamskim, staje się ruchem kierowniczym w dziedzinie odrodzenia świata muzułmańskiego, w jego usiłowaniach wyzwolenia się spod władzy obcych mocarstw i zajęcia należnego mu miejsca wśród innych kompleksów ludów, zarówno z tytułu liczebności (około 400 milj.), jak i uniwersalnego charakteru doktryny religijnej, oraz dawnych tradycji historycznych. W obecnej swej formie powstał on właściwie około 40-tu lat temu, mianowicie w końcu ub. stulecia; rozwinął się szeroko i mocno dzięki dwom wojnom — światowej i włosko - abisyńskiej. Przypuszczalnie dalsze jego losy zależne będą w wysokim stopniu od tego, jak się w najbliższej przyszłości potoczą zdarzenia w polityce międzynarodowej. Wszakże wszystko zapowiada, że zapoczątkowana już rywalizacja angielsko-włoska na morzu Śródziemnym wyjdzie na dobre ruchowi arabskiemu, bo znajdzie on zawsze poparcie i podniętę w jednym lub w drugim z tych współzawodników, nie mówiąc już o tym, że narodowy stan posiadania Arabów tak się już ugruntował w ciągu lat ostatnich, że trudno byłoby ich powstrzymać w zwycięskim pochodzie naprzód. Odtąd chodzić będzie jedynie o przyspieszenie lub czasowe zahamowanie ruchu, zależnie od sytuacji międzynarodowej, sam zaś ruch nie może już być powstrzymany.

Poza tym musimy zaznaczyć odrazu, że zagadnienie palestyńskie wiąże się coprawda z ruchem ogólnoarabskim, lecz stanowi jedynie drobny jego epizod, w dalszej perspektywie — bez wielkiego znaczenia dla samego ruchu. Nie wątpimy ani na chwilę, że Żydzi w tej walce muszą ulec. To też stawianie na państwo sjonistyczne w Palestynie jest mało usprawiedliwione i każdy, kto interesuje się zagadnieniem emigracji Żydów na większą skalę, musi zastanowić się poważnie nad kwestią, czy nie byłoby bardziej wskazane poszukiwać innych terenów kolonizacyjnych dla skierowania tam nadwyżki ludności żydowskiej w Polsce.

Gdy przed wojną światową nie istniało żadne niezależne państwo arabskie, obecnie mamy ich już kilka. Arabia Saudyjska (połączone ze sobą sułnat Nedźdu i królestwo Hedżasu), Jemen, Irak i Egipt. Syria i Liban mają być również uwolnione wkrótce spod mandatu francuskiego. Prawdopodobnie uniezależni się w najbliższej przyszłości i Transjordania, znajdująca się pod mandatem brytyjskim.

O początkach ruchu panarabskiego pisaliśmy już szczegółowo na tym miejscu w 1927 r. (*Droga*, Nr. 8 — 10). Pewne sprawy powtórzymy tu w liniach ogólnych, następnie zaś omówimy dokładniej zmiany, jakie zaszły w ciągu dziesięciu lat ostatnich. Pierwsza organizacja arabska dawnych czasów datuje się od 1895 r., gdy w Paryżu powstał „Narodowy Komitet Arabski“, założony przez syryjskich uchodźców politycznych. Po dziesięciu

łatach swego istnienia komitet ten wywołał już pierwszą rewoltę przeciwko panowaniu tureckiemu w Hedżasie i Jemenie. Rewolucja młodoturecka w 1908 r. oraz wojny bałkańska i trypolitańska (Turków z Włochami, 1910 — 1912) przyczyniły się do dalszego wzrostu ruchu arabskiego. Cele, do jakich zdążali patrioci arabscy, zostały wyłuszczone w 1906 r. w manifeste Narodowego Komitetu Arabskiego. Manifest zaznaczał, że uwolnione spod władzy tureckiej przyszłe państwo arabskie należy rozumieć w jego naturalnych granicach — od doliny Tygrysu i Eufratu do przesmyka Sueskiego i od morza Śródziemnego do morza Omańskiego. W manifeste przewidywało się również, że kalifat ma powrócić od Osmanów do Arabów.

Wojna światowa dostarczyła Arabom, pobudzonym przez Aliantów, a w szczególności przez Anglię (działalność słynnego płk. Lawrence'a), doskonalej sposobności do nowego otwartego buntu przeciwko Turkom. Inicjatywa powstania przypadła w udziale wielkiemu szeryfowi Mekki, Husseinowi-Ibn-Aliemu, potomkowi proroka Muhammada. Hussein wraz ze swymi synami — Fejsalem, Abdullahem i Alim — usiłował wykorzystać sytuację i połączyć wszystkie ziemie arabskie w jedno wielkie imperium pod władzą swej własnej rodziny (Haszemitów). W czerwcu 1915 r. szeryf zaproponował rządowi brytyjskiemu współdziałanie militarne i zażądał wzamian niepodległości Arabów na terytorium, którego północną granicą byłaby Mersyna i Adan oraz linia, biegnąca wzdłuż 37^o szerokości geograficznej aż do granicy perskiej. Granicą wschodnią miała zostać granica perska aż do zatoki Basory; południowa granica miała dotyczyć oceanu Indyjskiego, pozostawiając na uboczu protektorat angielski w Adenie; wreszcie — granica zachodnia miała się oprzeć o morze Czerwone i Śródziemne aż do Mersyny.

Rewolta arabska, dzięki zwycięstwu Aliantów, doprowadziła do powstania królestwa Hedżasu pod władzą Husseina. Hussein jednak nie zadowolili się tytułem króla Hedżasu i ogłosił się dn. 5 października 1916 r. „królem Arabii“. Obecni podczas tej ceremonii przedstawiciele Syrii i Mezopotamii uznali Husseina za swego króla i za króla wszystkich Arabów. Według planu angielskiego, synowie Husseina — Fejsal i Abdullah — zostali upatrzeni na władców Syrii i Iraku. Jednak sprzeciw Francji unieczystwił te zamiary i emir Fejsal został zmuszony przez Francuzów do opuszczenia Syrii. Wtedy Anglia zapewniła tron królewski Fejsalowi w Iraku, a Abdullahowi — emirat Transjordanii. Po zniesieniu w Turcji kalifatu król Hussein ogłosił się w 1924 r. kalifem.

Tymczasem w Arabii środkowej powstała potęga nowego kandydata na przyszłego cesarza Arabów, mianowicie sułtana Nedżdu, Abdul-Azisa

Ibn-Sauda, który potrafił podbić uprzednio szereg pomniejszych, sąsiadujących z jego państwem, emiratów — Szammar, Hail i t. d. Już w 1920 r. Ibn-Saud wydał do Syryjczyków proklamację, zwróconą przeciwko emirowi Fejsalowi. W odezwie tej mówiło się między innymi co następuje: „Wojna światowa zmieniła dawny porządek rzeczy i rozerwała jedność muzułmańską. Nie potrzebuję wam mówić, co zrobił emir Mekki... Gdybyż się tylko opiekował Hedżasem, ale (niech mu Bóg wybaczy) zawarł on przymierza i pogrążył kraj arabski w przepaści, ten kraj, o którym wiecie, że był kolebką Islamu i był wolny i niezależny od wieków“.

Od tej chwili Ibn-Saud staje się obrońcą niepodległości i jedności arabskiej i rozpoczyna walkę z dynastią Haszemitów, oskarżając ją o zdradę dzieła oswobodzenia arabskiego na rzecz wpływów cudzoziemskich (angielskich). Pierwszy atak we wrześniu 1923 r. był zwrócony przeciwko emirowi Transjordanii Abdullahowi, a we wrześniu 1924 r. rozpoczął się zakrojony na wielką skalę atak przeciwko królowi Husseinowi w Hedżasie. W miesiąc później wojska Wahabitów zajęły Taif, odległą o 70 km od Mekki. Z początkiem października król Hussein, pobity przez Wahabitów, opuszczony przez rozdwojoną ludność swego kraju i wyklęty przez świat muzułmański za to, że stał się narzędziem imperializmu brytyjskiego — zmuszony był abdykować na rzecz syna swego Aliego. Ten ostatni opuścił Mekkę i bronił się w Dżeddzie, która jednak już dnia 24 grudnia 1924 r. dostała się w ręce Wahabitów. W ten sposób Ibn-Saud mógł się ogłosić królem Hedżasu. Anglicy natychmiast uznali nowego zdobywcę, zawierając z nim w 1925 i 1927 r. traktaty przyjaźni. W październiku 1926 r. zagarnął on większą część emiratu Assir, o który toczyła się wojna pomiędzy nim a imamem Jemenu. W 1933 r. Ibn-Saud połączył wszystkie swe kraje w jedno państwo pod nazwą Saudia (na cześć swej dynastii Saudów).

Dzięki zwycięstwom nad Jemenem w 1934 r. Ibn-Saud okupował cały Assir, Nadżran i nadbrzeżną część (Tihama) Jemenu. W ten sposób powoli, lecz z całą wytrwałością Ibn-Saud na czele swych Wahabitów dokonywa połączenia ziem arabskich. Ponieważ jest on obecnie najbardziej potężnym monarchą Arabii, nadzieje Arabów co do połączenia ziem swych w jedną federację skupiają się wokół osoby tego bohatera narodowego wszystkich patriotów arabskich; pozwolimy sobie naszkicować jego sylwetkę.

Król ten sam scharakteryzował swą osobistość oraz doktrynę Wahabitów w jednej z mów, wygłoszonych w Mekce przed kilkoma laty do pielgrzymów, przybywających z całego świata do Kaaby. Powiedział on mianowicie: „Byłem niczem, lecz dzisiaj rządę krajami bardzo odległymi jeden od drugiego. Dla zdobycia tego cesarstwa nie posiadałem żadnych

środków, oprócz mocnej wiary i mocnego dogmatu jedności Bożej. Nie posiadałem żadnych skarbów tego świata, ani sił w ludziach, gdy tymczasem wrogowie moi napierali ze wszystkich stron. Jednak z pomocą Boga zwyciężyłem mych wrogów i podbiłem ich kraje“. Król podkreślił dalej z naciskiem, że krajom muzułmańskim zagrażają państwa cudzoziemskie tylko dlatego, że sami muzułmanie w celach wyzysku osobistego popierają dążenia zaborcze państw zachodnich. „Muzułmanie — powiedział — odzyskają swój dobrobyt i swą niezależność tylko wtedy, gdy połączą się w jedność. W dniu, w którym to nastąpi, stanę na ich czele i będę walczył wraz z nimi i obok nich. Przysięgam na Tego, poza którym nie ma Boga! Nie szukam dla siebie ani fortuny, ani państwa: blask tronu nie olśniewa mnie; szukam jedynie zadowolenia Boga; wznoszę do Niego modły, by On w swej jedności połączył wszystkich muzułmanów, a wtedy pójdę wraz z nimi, nie jako król, nie jako pretendent albo emir, lecz jako sługa; pójdziemy wraz z nimi, jak i moja rodzina, moja armia i wszyscy synowie mego kraju! Bóg jest świadkiem mych słów, jest On najlepszym ze świadków!“.

Mowa ta wskazuje najwyraźniej, jakie są dążenia Ibn-Sauda. Jest on pod tym względem prawdziwym bohaterem swego narodu i najbardziej oddanym synem Islamu. Z punktu widzenia religijnego jest on zwolennikiem i obrońcą Islamu w pierwotnej jego czystości, tak, jak jest on zawarty w „świętej Księdze Allaha i w Ustawie Jego Proroka“. Jego dogmat streszcza się w jedności Boga, jedności, „pozbawionej wszelkiego błędu i czystej od wszelkiej herezji“. Wzywa on wszystkich wierzących do powrotu do czystego kultu jedności i do braterstwa wszystkich muzułmanów. Uważa, wraz ze swymi Wahabitami, że muzułmanie zboczyli z prawej drogi Allaha i „pogrzęźli w niesprawiedliwościach i grzechach“. Z tego też powodu „Allah porzucił ich i spadli oni w stan niewolnictwa i pogardy i stracili swą potęgę“. Dla zachowania zaś czystości i jedności Boga, zwalcza on wszystkie próby uwielbiania świętych i ich grobowców, zakazuje nawet uwielbiania grobowca samego Proroka Muhammada; nie uznaje żadnych pośredników i żadnego wstawiennictwa między człowiekiem — tworem bożym a Bogiem — Stwórcą. Pod względem politycznym dąży do przywrócenia Islamowi, a przede wszystkim Arabom, dawnej ich świetności i potęgi. W tym celu pragnie połączenia w jedno państwo federacyjne wszystkich ziem arabskich oraz przywrócenia „doskonałego kalifatu“, to znaczy kalifatu, opartego na wolnym obiorze — jak to miało miejsce w pierwszych czasach muzułmaństwa, nie zaś na przywłaszczaniu sobie przemocą tej godności przez jakąbądź dynastię, jak to było od czasów imperium otomańskiego

Ibn-Saud jest sam niewątpliwie głównym kandydatem na stanowisko kalifa i zostanie prawdopodobnie z czasem obrany nim. Dzieje Ibn-Sauda jako polityka są nader ciekawe. Należy on do dynastii dawnych emirów Riadu (stolica Nedżu). Trzydzieści lat temu jeden z wasalów tej dynastii, emir Hailu (Szammaru), Mohammad-ibn-Raszyd, przyjaciel i protegowany Turków, podbił emirat Saudów i internował członków ich rodziny w swej stolicy Hail. W pięć lat później Abdul-Aziz-ibn-Saud, ówczesny emir Nedżu, uciekł z więzienia na pustynię i śmiałym napadem, na czele kilku dziesiątków swych zwolenników, zaatakował i zdobył rodzinne miasto Riad, zabijając gubernatora i wycinając w pień część garnizonu. Od tego czasu prowadził z powodzeniem ustawiczną walkę przeciwko emirom Raszydom i podbił nareszcie ich państwo (w 1921 r.), łącząc w ten sposób pod swą władzę cały Nedżd.

Jeszcze w czasie wojen bałkańskich zdobył on także prowincję Ahsa, stanowiącą część prowincji Basory. Po wojnie światowej zajął część Assiru, położonego między Jemenem a Hedżasem, zaś w końcu 1924 r. zdobył i Hedżas. Próbował poza tym podbić, lecz bez powodzenia, Transjordanie i rejon Koweitu (w Iraku), kraje, znajdujące się pod mandatem angielskim. Próby te miały jednak ten wynik, że Anglicy uznali urzędowo granicę jego nowego państwa. Twierdzą, że Ibn-Saud brał osobisty udział w dwustu przynajmniej bitwach.

Po tych wszystkich podbojach Ibn-Saud musiał zająć się utrzymaniem porządku wewnętrznego, oraz organizacją administracji na całym obszarze swego rozległego kraju. Spotkał się przy tym z oporem licznych swych wasalów, różnych emirów i szejków plemion, a zwłaszcza z oporem Feisal-ed-Dowisza oraz sułtana Ibn Beżada, szejka Oteiby. Wasale ci zarzucali mianowicie Ibn-Saudowi wprowadzenie pewnych, niezgodnych jakoby z duchem Islamu, reform, a zwłaszcza „maszyn diabelskich“ (samochodów, telefonów, telegrafu iskrowego, elektryczności i t. d.). Dla ułatwienia sobie zwalczania swych przeciwników Ibn-Saud zwołał radę ulemów (uczonych teologów), która orzekła, że ani Koran ani Sunna nie sprzeciwiają się tym tak pożytecznym dla ludzkości narzędziom; wręcz przeciwnie: Islam uznaje, że wiedza stanowi drugi, zaraz po darze prorocstwa, stopień, zbliżający człowieka do Boga i że Prorok kazał wiernym szukać wiedzy nawet w Chinach. Po tym orzeczeniu, opierając się na autorytecie teologów i religii, Ibn-Saud wyruszył na czele swych wojsk przeciwko buntownikom i zadał im tak dotkliwą klęskę, że musieli szukać schronienia na terytorium Iraku.

Z danych powyższych wynika, że Ibn-Saud nie jest wcale zacofanym fanatykiem, lecz człowiekiem postępowym, a także wielkim dyplomata. Co

się tyczy jego zdolności administracyjnych, o tym najlepiej świadczą porządek i bezpieczeństwo, zapewnione przez niego w całym państwie, zwłaszcza zaś w Hedżasie, gdzie za czasów panowania tureckiego nawet pielgrzymi nie byli pewni swego życia i mienia wskutek ciągłych napadów ze strony Beduinów. Teraz na terytorium Hedżasu panują stosunki, zapewniające ludności i pielgrzymom warunki higieniczne i całkowite bezpieczeństwo. Poza tym wprowadzono komunikację samochodową między Dżeddah a Mekką i Medyną, ułatwiającą znakomicie dokonywanie uciążliwego obrządku pielgrzymki. To też świat muzułmański żywi dla Ibn-Sauda największe uznanie i wdzięczność; stąd również, nie mówiąc już o jego powodzeniach wojennych oraz o dążeniach wszecharabskich i ogólnomuzułmańskich, płynie niezwykła popularność Ibn-Sauda w całym świecie islamskim. Popularność tę Ibn-Saud podzielał z początku z królem Iraku, Fejsalem, synem zdeponowanego króla Hedżasu, Husseina. Po śmierci Fejsala w 1933 r. Ibn-Saud nie ma już współzawodnika w żadnym z monarchów arabskich — ani w imamie Jemenu, ani w młodocianym królu Iraku Ghazi I, ani w emirze Transjordanii Abdullahu. Mimo to pomiędzy domem Saudów i Haszemitów (potomków króla Husseina) trwa nadal rywalizacja na tle ruchu panarabskiego, która doprowadzi prawdopodobnie kiedyś do otwartej walki pomiędzy obu dynastiami.

Przechodząc do Iraku, należy zaznaczyć, że niepodległość tego kraju została przygotowana przez traktat, zawarty pomiędzy nim a Anglią w końcu 1927 r. W 1929 r. rząd labourzystów Mac Donalda przyrzekł Irakowi zniesienie mandatu brytyjskiego. Już dnia 30 czerwca 1930 r. został podpisany nowy układ, na którego podstawie Irak uzyskał całkowitą niepodległość i został przyjęty (w 1932 r.) do Ligi Narodów. Traktat zapewnia jednak Anglii w Iraku znaczne przywileje oraz prawo utrzymywania tam nielicznych sił zbrojnych, potrzebnych do zapewnienia powietrznej komunikacji pomiędzy Wielką Brytanią a jej posiadłościami w Indiach i wogóle na Dalekim Wschodzie. Poza tym układ zabezpieczył Anglii pewną kontrolę nad administracją i wojskiem Iraku, bo wszyscy doradcy cywilni i instruktorzy wojskowi mogą być angażowani przez rząd bagdadzki jedynie z Anglii. Również i cały materiał wojenny ma być sprowadzany wyłącznie z Anglii. Obecnie Irak poczynił już znaczne postępy pod względem rozwoju swych nader bogatych zasobów gospodarczych (nafta mosulska), zreformował administrację i tworzy regularne wojsko drogą wprowadzenia ostatnio obowiązkowej służby wojskowej.

Rok bieżący obfituje w doniosłe zdarzenia w rozwoju ruchu panarabskiego: pomiędzy Saudią, Jemenem i Irakiem zawiera się pakt sojuszniczy, Egipt wyzwala się spod protektoratu angielskiego, a Syria — spod

mandatu francuskiego. Wreszcie w Palestynie trwa od pięciu przeszło miesięcy zacięta walka z Anglią i kolonizacją żydowską. Podpisany w kwietniu b. r. w Bagdadzie układ pomiędzy Saudią, Irakiem i Jemenem zawiera punkty, które stanowią właściwie unię tych państw, bo przewiduje się zniesienie między nimi granicy celnej i paszportów, unifikację szkolnictwa, systemu monetarnego i reprezentacji zagranicą oraz sojusz wojskowy, obronny i zaczepny. Innym państwom arabskim zostawiono prawo przystąpienia w każdej chwili do traktatu powyższego. Nie jest wyłączone, że Egipt, Syria i Transjordania uczynią to już w czasie najbliższym.

Co do Egiptu, dnia 26 sierpnia b. r. został podpisany w Londynie układ, na którego podstawie znosi się protektorat brytyjski w dolinie Nilu. Cel paktu określa się jako „konsolidację przyjaźni i zgody między Wielką Brytanią a Egiptem, mając na względzie efektywną współpracę dla zapewnienia pokoju“. Art. 1-szy postanawia, że „okupacja Egiptu przez siły zbrojne skończy się“. Następny paragraf zaznacza, że odtąd król i cesarz brytyjski będzie reprezentowany na dworze króla Egiptu i ten ostatni na dworze w Saint James — przez ambasadora. Art. 3-ci powiada, że rząd brytyjski, uznający suwerenność państwową Egiptu, poprze prośbę rządu kairskiego o przyjęcie tego kraju do Ligi Narodów. Dalej postanawia się, że sojusz zostaje zawarty między układającymi się stronami celem skonsolidowania ich przyjaźni, oraz ich serdecznej zgody i dobrych stosunków. Oba kraje zobowiązują się nie zajmować w stosunkach z państwami obcymi stanowiska, niezgodnego z powyższym sojuszem, i nie zawierać traktatów, sprzecznych z jego postanowieniami. Wszelkie zatargi między stronami będą załatwiane środkami pokojowymi — na podstawie paktu Ligi Narodów, jak również i innych odnośnych zobowiązań międzynarodowych. „Jeżeli jedna ze stron zostanie wciągnięta w wojnę, druga strona musi natychmiast przyjść jej z pomocą“. Pomoc ta, o ile chodzi o króla Egiptu, i to w razie wybuchu wojny, bezpośredniej groźby wojny lub obawy kryzysu międzynarodowego, wyrazi się w tem, że poczyni on wszelkie ułatwienia dla króla i cesarza i okaże wszelką pomoc, oddając do jego dyspozycji swe porty, lotniska i środki komunikacyjne.

Art. 8-my dotyczy kanału Suezkiego i postanawia, że kanał ten stanowi część Egiptu, a jednocześnie drogę komunikacyjną pomiędzy różnymi częściami Imperium Brytyjskiego. To też król Egiptu aż do chwili uznania prze obie strony, że armia egipska jest w stanie zapewnić własnymi siłami wolność i bezpieczeństwo żeglugi przez kanał, upoważnia króla i cesarza brytyjskiego do utrzymywania sił zbrojnych na terytorium egipskim w sąsiedztwie kanału, a mianowicie w strefie, wyszczególnionej w za-

łączniku do artykułu niniejszego; ma to na celu obronę kanału wspólnie z siłami egipskimi. Po upływie 20-tu lat obie strony zadecydują, czy własne siły Egiptu wystarczają dla zapewnienia obrony kanału, czy też zachodzi potrzeba dalszej obecności sił brytyjskich w pobliżu kanału. Siły te nie będą przekraczały 10.000 wojsk lądowych i 400 pilotów, nie licząc personelu technicznego i robotników (w liczbie do 4.000). Rząd egipski zobowiązuje się wybudować i utrzymać szereg dróg bitych i kolei o znaczeniu strategicznym oraz lotniska. Poza tym król Egiptu upoważnia króla angielskiego do utrzymywania w ciągu najbliższych 8-miu lat (od czasu wejścia w życie układu) sił zbrojnych lądowych i morskich w Aleksandrii lub w pobliżu tego miasta. Co do Sudanu, strony postanawiają, że generalny gubernator tej prowincji będzie rządził w imieniu Anglii i Egiptu, że będzie powoływał na służbę zarówno Anglików jak i Egipcjan i że będzie korzystał z wojsk brytyjskich i egipskich dla obrony kraju; imigracja Egipcjan do Sudanu nie będzie hamowana żadnymi względami i t. d. Układ uznaje dalej, że ustrój kapitulacyjny, istniejący obecnie w Egipcie, nie może być usprawiedliwiony duchem czasu i dzisiejszym stanem Egiptu, że zatem Wielka Brytania będzie popierała zniesienie stopniowe reżimu kapitulacyjnego. Wreszcie, co do rewizji układu, przewiduje się termin 20-letni; po jego upływie oba rządy mają się porozumieć co do warunków przedłużenia traktatu. W razie rozbieżności poglądów w tej sprawie spór przekazany zostanie Lidze Narodów.

Przechodząc do Syrii, należy zaznaczyć, że układ pomiędzy tym krajem a Francją został narazie tylko parafowany w Paryżu dnia 9 września b. r. Ostateczne jego podpisanie i ratyfikacja mają nastąpić później. Układ jest wzorowany na traktacie irako-angielskim. Różni się one jedynie tym, że Francja, związana ścisłymi stosunkami kulturalnymi z pewnym odłamem społeczeństwa syryjskiego (ludność chrześcijańska), zapewniła syryjskim mniejszościom narodowościowym specjalne prawa, czego nie uczyniono w układzie irako-angielskim. Poza tą kwestią, rokowania paryskie natrafiały na pewne trudności z powodu życzenia Francji, by utrzymywać nadal w Syrii niewielką ilość wojsk lądowych i powietrznych. Syria zgodziła się ostatecznie i na to żądanie, przy czym zostało wyraźnie zastrzeżone, że fakt obecności na terytorium Syrii obcych sił zbrojnych nie oznacza bynajmniej uszczuplenia suwerenności tego kraju. Jednocześnie zaznaczono, że Syria będzie miała prawo, a nawet obowiązek tworzenia swej własnej armii, pod warunkiem, że uzbrojenie tej armii musi pochodzić z Francji i że musi ona być wyćwiczona przez instruktorów francuskich. Tak samo i reformy administracyjne w Syrii mają być przeprowadzone przy czynnym udziale doradców francuskich. Wreszcie — Syria będzie musiała

uzgadniać swą politykę zagraniczną z polityką francuską. Co do polityki wewnętrznej, Francja nie będzie posiadała żadnego prawa wtrącania się. Nawet wojska francuskie, pozostające nadal na terytorium syryjskim, nie będąc wojskami okupacyjnymi, nie będą mogły interweniować celem utrzymania porządku wewnętrznego w kraju. Mandat francuski zostanie ostatecznie zlikwidowany dopiero po kilku latach, w miarę tworzenia się w Syrii własnej administracji i armii. Ratyfikacja układu może nastąpić jedynie po powołaniu do życia nowego rządu syryjskiego i przeprowadzeniu wyborów parlamentarnych na zasadach demokratycznych.

Co do Libanu: kraj ten zamieszkały jest w znacznej części przez ludność chrześcijańską i Francja posiada tu specjalne interesy. Rokowania libańsko-francuskie jeszcze trwają. Jednak wiadome, że układ francusko-libański będzie oparty na takich samych mniej więcej zasadach, jak traktat francusko-syryjski. Po ukonstytuowaniu się niepodległej republiki w Libanie kraj ten ma wejść do związku federacyjnego z Syrią.

Pozostaje do omówienia jeszcze zagadnienie palestyńskie, które interesuje między innymi bezpośrednio i Polskę. Na tej kwestii zatrzymamy się nieco dłużej.

Po wojnie światowej Palestyna była uznana przez traktat sewrski z dnia 10 sierpnia 1920 r. za państwo niepodległe. Będąc odłączona od Turcji, została postawiona przez traktat lozański z dnia 24 lipca 1923 r. pod mandat „A”. Liga Narodów przekazała wcześniej jeszcze, mianowicie w dniu 24 lipca 1922 r., ten mandat Wielkiej Brytanii, zobowiązując ją do urządzenia w Palestynie dla Żydów, w granicach odpowiadających liczbie i interesom ówczesnej ludności, ognisko (siedzibę, *home*) narodowe, zgodnie z deklaracją Balfoura z dnia 2 listopada 1917 r. Mandat powyższy wszedł ostatecznie w życie dnia 29 września 1923 r. Co się tyczy deklaracji, oświadczała ona co następuje: „Rząd brytyjski J. K. M. patrzy przychylnie na urządzenie w Palestynie ogniska (*home*) narodowego dla Żydów i użyje wszelkich usiłowań, aby ułatwić osiągnięcie tego celu, rozumiejąc przy tym, że nie będzie zrobione nic, co mogłoby uszczuplić prawa cywilne i religijne istniejących społeczeństw nieżydowskich w Palestynie, ani prawa i położenie polityczne, w jakim znajdują się Żydzi w jakimkolwiek kraju poza Palestyną.

Z powyższego wynika, że rząd brytyjski nie zobowiązał się bynajmniej do stworzenia dla Żydów w Palestynie własnego państwa, lecz miał jedynie na celu urządzenie ogniska narodowego, i że poza tym rząd londyński zastrzegał, że nie dopuści przy osiągnięciu wskazanego celu do uszczuplenia praw ludności tubylczej, to znaczy Arabów. Podobne zastrze-

zenie zostało uczynione i przez Ligę Narodów, która wyraźnie podkreśliła, że żydowskie ognisko narodowe ma powstać bez naruszenia liczby i interesów ówczesnej ludności Palestyny. Wobec takiego postawienia kwestii, wytworzyła się sytuacja, która sprawę żydowską w Palestynie uzależniała całkowicie od stanowiska rządu angielskiego. Jednak, jak o tym świadczy historia angielskiej polityki kolonialnej, Anglia odznaczała się zawsze umiejętnością zastosowania się do wymagań chwili, dla utrzymania za wszelką cenę, drogą najdalej idących ustępstw wobec podwładnych sobie ludów, panowania brytyjskiego nad nimi. To też każdy nieuprzedzony obserwator zdawał sobie sprawę, że byłoby nierozumne i niebezpieczne budować, opierając się wyłącznie na przychylności angielskiej, nowe państwo żydowskie w takim kraju, jak Palestyna, zamieszkałym od 1.300 lat przeszło przez bezwzględną większość arabską — tembardziej że mandat Ligi Narodów i deklaracja Balfoura nakazywały Anglii wyraźnie bronić (przystępując do odbudowy ogniska żydowskiego) interesów ludności tubylczej.

Wbrew takiemu stanowi rzeczy, sjonistyczne organizacje żydowskie uważały za możliwe dążyć nie tylko do stworzenia ogniska narodowego w ramach istniejących, lecz domagać się stworzenia drogą kolonizacji, większości żydowskiej w Palestynie i do stworzenia tam czysto żydowskiego państwa. Wśród żydowskich działaczy politycznych, tak w samej Palestynie jak i poza jej granicami, znaleźli się tacy, którzy dążyli do przyłączenia do Palestyny jeszcze i Transjordanii, uważając, że obecne terytorium Palestyny jest za małe dla przyszłego wielkiego państwa żydowskiego. Poza tym nowi liczni przybysze żydowscy, mimo ostrzeżeń ze strony dawnych mieszkańców żydowskich Palestyny, zaczęli domagać się nagwałt uprzywilejowania przez władzę mandatarną elementu żydowskiego w porównaniu z żywiołem arabskim. Podobne postępowanie musiało wzbudzić podejrzliwość i czujność większości arabskiej, która też zaczęła domagać się od Anglików zachowania *status quo* w stosunkach wewnętrznych kraju.

Na tle sprzeczności interesów i dążeń narodowych obu żywiołów, żydowskiego i arabskiego, Arabowie kilkakrotnie wywoływali rozruchy antyżydowskie i antyangielskie; największe były zamieszki w r. 1929 i obecnie. Przyczynę ostatnich wydarzeń palestyńskich stanowi niezwykle wzrost w ostatnich trzech latach imigracji żydowskiej do Palestyny, która w 1935 r. wyniosła około 62.000, podczas gdy w ciągu piętnastu lat poprzednich przybyło do Palestyny wszystkiego około 210 do 230.000 Żydów. Okoliczność ta zaalarmowała Arabów. Kłopoty Anglii, w związku z wojną włosko-abisyńską, na morzu Śródziemnym, oraz powodzenie rozruchów

w Egipcie i Syrii dodały bodźca nacjonalistom panarabskim, którzy poparli Arabów palestyńskich.

Strajk i sabotaż arabski w Palestynie, który trwa od kwietnia b. r. aż po dzień dzisiejszy, skierował na siebie uwagę nie tylko całego świata arabskiego, lecz i opinii publicznej Europy i stał się jednocześnie podniętą do dalszego potęgowania się ruchu wszecharabskiego. Wynik walki palestyńskiej jest przesądzony w tym sensie, że Anglia potrafi stłumić rokosz; natomiast nie jest wiadome, jak się będzie orientowała w przyszłości polityka angielska. Należy wszakże przypuszczać, że Wielka Brytania poczyni pewne ustępstwa na rzecz Arabów palestyńskich i ograniczy poważnie imigrację żydowską. Do tego zostanie ona zmuszona przede wszystkim tym, że sąsiednie kraje arabskie, które odzyskały już po większej części niepodległość, interesują się żywo losem Palestyny i domagają się będą od Anglii zmiany polityki. Anglii zaś zależeć będzie na utrzymaniu dobrych stosunków z Arabami wogóle, ze względu na jej rywalizację z Włochami we wschodniej części morza Śródziemnego, przez które przebiegają t. zw. brytyjskie szlaki imperialne.

Nacjoniści arabscy nie uznają odrębności Palestyny ani pod względem etnicznym, ani geograficznym i twierdzą, że Palestyna stanowi dalszy ciąg obszaru Syrii i musi być do Syrii przyłączona. Głównymi postulatami Arabów palestyńskich wobec Anglii są w chwili obecnej: zaniechanie imigracji żydowskiej, zakaz sprzedawania Żydom ziemi arabskiej i powołanie do życia parlamentu i rządu demokratycznego. Wysuwając te żądania, wskazują oni, że Palestyna musi odzyskać z czasem — za przykładem sąsiednich państw arabskich — niepodległość i że mandat brytyjski jest w rzeczywistości tylko instytucją tymczasową, ustrojem, który może trwać jedynie dopóty, dopóki ludność krajowa nie zostanie przygotowana do samodzielnego bytu. Przygotowanie tego przyszłego stanu jest obowiązkiem Anglii, od którego nie może się ona uchylić; żądanie wprowadzenia reżimu parlamentarnego w Palestynie ma być pierwszym krokiem do zniesienia mandatu. Żydzi, którzy na całym świecie reprezentują, jak wiadomo, demokratyczne i radykalne poglądy w polityce wewnętrznej każdego kraju, w którym zamieszkują — są jednak zaciętymi przeciwnikami parlamentaryzmu w Palestynie, bo dążą oni do uzyskania tu w przyszłości przewagi nad Arabami, zamiast prawnego zrównania się z nimi.

Należy zaznaczyć, że zagadnienie palestyńskie tak się skomplikowało wobec rosnącego ruchu panarabskiego, że trudno byłoby przypuścić, by kiedykolwiek Palestyna stała się państwem żydowskim: sprzeciwiać się temu będą nie tylko Arabowie palestyńscy, lecz piętnaście milionów Arabów półwyspu Arabskiego i Azji Mniejszej. Żydzi natomiast, pozbawieni bagne-

tów angielskich, nie przedstawiają na terenie Palestyny żadnej siły politycznej i bojowej, mimo że pod względem gospodarczym osiągnęły poważne stanowisko w życiu tego kraju.

Na zakończenie została nam kwestia niezmiernie doniosła: stosunek ruchu arabskiego do propagandy Moskwy. Na pytanie w tej kwestii odpowiada najlepiej i z całym autorytetem emir Szekib Arslan, czołowy przywódca ruchu panarabskiego, największy pisarz arabski doby obecnej, emigrant polityczny z Syrii, mieszkający od dziesięciu już lat w Genewie, skąd kieruje, jak twierdzą, ruchem arabskim we wszystkich bez wyjątku krajach arabskich, zaliczając do nich i kolonie francuskie w Afryce północnej. Ten znakomity polityk arabski zamieścił w roku bieżącym w wychodzącym w Sarajewie (Jugosławia) piśmie *Islamski Glas* dłuższy artykuł, w którym oświadcza, że z początku Arabowie i muzułmanie wogóle życzyli sobie pomocy ze strony Sowieków, gdyż rząd sowiecki proklamował wtedy siebie jako protektora narodów ujarzmionych, bez różnicy rasy i wyznania. Moskwa obiecywała wyzwolić jednocześnie i swe własne kraje muzułmańskie — Kaukaz, Azję Środkową i t. d., a także przyczynić się do wyzwolenia Egiptu, Syrii, Palestyny, Iraku, Tunisu, Marokka, Libii i Indyj; to też muzułmanie, mimo że bolszewizm jest spreczny z nauką islamską, chcieli widzieć w Moskwie swą sojuszniczkę.

Złudzenie ich trwało niedługo: prędko się przekonali, że zamiast wyzwolenia swych krajów muzułmańskich, Sowiety ujarzmiły zbrojną ręką Kaukaz, Bucharę i t. d., okupowane dawniej przez Rosję carską. Ostatecznie okazało się, że Sowiety są większymi imperialistami od Rosji carskiej. Arabowie przekonali się również, że poparcie udzielane przez bolszewików zamorskim krajom muzułmańskim, jak na przykład Egiptowi, Marokku, Algierowi i t. d., było jedynie manewrem, zdążającym do skomunizowania tych narodów, oraz środkiem do wymuszenia od wielkich mocarstw kolonialnych (w pierwszym rzędzie od Francji i Anglii) zaprzestania zwalczania Sowieków na terenie międzynarodowym. Ponieważ uznanie Moskwy przez te mocarstwa nastąpiło jedynie pod warunkiem zobowiązania się jej do nieuprawiania na przyszłość propagandy w koloniach, przeto stało się jasne, że bolszewicy nie byli bynajmniej szczerzy w swych stosunkach z muzułmanami i posługiwali się groźbą agitacji w koloniach wyłącznie dla osiągnięcia swych własnych celów.

K S I A Ż K I

ŻYCIE SZTUKI

Mogłoby się wydawać, że skoro już wychodzi **Rocznik Literacki**, skrupulatnie notujący w obszernym tomie całokształt roku wydawniczego, systematyzujący go i opisujący — zbędne jest wydawanie drugiego podobnego perjurydu, jakim jest napozór **Życie Sztuki**). Jednak tak nie jest: **Rocznik** raczej inwentaryzuje i zestawia, podczas gdy **Życie Sztuki** usiłuje sobie zdać sprawę z całokształtu bądź to zagadnień, bądź też poszczególnych dziedzin sztuki — żeby już nie wspomnieć o tej okoliczności, że **Rocznik** zajmuje się wyłącznie literaturą, natomiast **Życie Sztuki** — także plastyką, i kinem, i teatrem, i radjem. Musimy więc potrzebę takiej perjurydycznej publikacji uznać za głęboko uzasadnioną.

Poza działem o sztuce zagranicą całość przedstawia się nam w zarysach możliwie pełnych i całkowicie przemyślanych przez redakcję. Część pierwsza — to artykuły o charakterze teoretycznym, rozważające i analizujące sprawy kultury, teatru, radja, filmu, rzeźby czy muzyki. W części drugiej mamy przeglądy usystematyzowanych zdażeń za omawiany rok, a więc jest to dział kronikarski, lecz pomyślany bardzo syntetycznie (np. ciekawe prace Kawyna czy Bohdziewicz). Te dwa działy stanowią główny trzon **Życia Sztuki** i one decydują o wielkiej wartości wydawnictwa. Postarajmy się choć pobieżnie przejrzeć ciekawsze pozycje.

Tom drugi otwiera obszerna rozprawa B o g d a n a S u c h o d o l s k i e g o p. t. „Wielkość sztuki i odrodzenie kultury“ o trzech zasadniczych częściach: a) kultura jednowarstwowa i dwuwarstwowa, b) ewolucja kultury europejskiej i c) ku czemu idziemy? Praca Suchodolskiego wydaje się nam b. ważna; nie wahalibyśmy się jej nazwać

zasadniczem zestawieniem, jeśli chodzi o naprawdę szeroko pomyślaną i rozbudowaną problematykę kultury naszej, i zreferowaniem jej związków z kapitalnymi zagadnieniami nowożytnej myśli europejskiej. Jeśli powiadamy: „kultury naszej“, to mamy na myśli nie jej sens regionalny, ale jej pierwiastek ludzki, którego oblicze dzieje nam do uformowania przeznaczyły. Nie trzeba też zapominać, że Suchodolskiemu chodzi przede wszystkim o przyszłość i dotychczasowy dorobek duchowy Europy służy mu za odskocznik do stawiania pewnych postulatów, korygujących błędy i usuwających niebezpieczeństwa dzisiejszego życia duchowego. Rolę, jaką wyznacza w tem dziele odrodzenia kultury sztuce, można określić jako zasadniczą i niemal jedyną. Tylko siła ludzka może odrodzić wewnątrznie zakłamaną i rozbitą kulturę dwuwarstwową, nasycić ją żywotnością, a wtedy i sztuka przestanie być ozdobą jedynie ludzkiej vegetacji, będzie „naturalnem światłem życia“. Chodzi o stworzenie kultury jednolitej, kultury prawdziwie humanistycznej, wiernej człowieczeństwu. Sztuka zawsze łączy się całkowicie i harmonizuje z życiem, gdy jest ono twórcze, pełne i osobowe. Wielkość sztuki tkwi w doświadczeniach życiowych, a nie w teoretyzowaniu; nie esteci, lecz ludzie żywi, czujący ją, utrwala i właściwie oceniają jej zdobycze. Do takich ostatecznych konkluzji dochodzi Suchodolski w swej rozprawie. Podkreślić się godzi dla ścisłości, że rozprawa Suchodolskiego nie jest samodzielnym światopoglądem, ale trafną i umiejętnie szarmonizowaną kompilacją, zresztą opartą o najświetniejsze umysłowości polskie, jak Abramowski, Brzozowski, Witkiewicz czy inni, żeby nie wspomnieć obcych myślicieli.

Jeśli chodzi o klasyfikację rzeczywistości kulturalnej i wniknięcie w jej strukturę wewnętrzną, Suchodolski uważa za najważniejsze stanowisko wychowawcze. Kultura i wy-

*) Tom drugi. Warszawa, 1935, Kasa im. Mianowskiego. Str. 375 i 1 nl.

chowanie splatają się ze sobą coraz ściślej — tak jak dawniej łączono kulturę z religią, z postępem rozumu lub środowiskiem, czy też rasą. Uznawszy tę pozycję oceny zjawiska, któremu na imię kultura — za punkt wyjścia, musimy przyjąć dwa typy wychowania: uczestniczenie i przygotowanie. W pierwszym wypadku polega ono na tem, że młodzież bierze udział w życiu społeczeństwa i próbuje je naśladować; w drugim wypadku wychowanie odbywa się w warunkach sztucznie niejako zorganizowanych, pozażyciowych, zapomocą wiedzy specjalnie wyznaczonej i podanej; po takim wychowaniu następuje dopiero zetknięcie się młodzieńca czy dziewczyny z życiem dojrzałego społeczeństwa. Wychowanie uczestniczące ma miejsce w społecznościach prymitywniejszych, gdzie dorobek pokoleń jest mały, a życie upływa w aktualności; wychowanie przygotowujące jest wyrazem kultury, w której bogactwo dóbr wszelkiego rodzaju stało się niezwykle wielkie, a tradycja narzuca obowiązek poznania jej drogą studjów. Te dwa typy kultury nazywa autor kulturą jednowarstwową i dwuwarstwową. W tej drugiej ceni się przede wszystkim wartość dóbr obiektywnych, w pierwszej obowiązki człowieka leżą w stosunku do siebie i do bliźnich. Ona kształtuje charakter i współżycie, podczas gdy tamta jest raczej typu produkcyjnego. Kultura dwuwarstwowa posiada tę najważniejszą właściwość, że w niej życiowy nurt pokolenia lub epoki odbiega od form przekazanego dorobku i jego dotychczasowych treści. Taki stan rzeczy prowadzi w ostatecznym rezultacie do wstrząsów rewolucyjnych. Tą drogą znajduje wówczas nowe łożysko dla bujnych przejawów życia, następuje wtedy względna harmonja i równowaga. Z tego rodzi się umiowanie bytu, człowiek uzyskuje poczucie własnej wartości, a twórczość jego osiąga jednolity ton.

Jeśli chodzi o kulturę europejską, to cechuje ją dwuwarstwowość, powstała drogą ewolucji z jednowarstwowości, przyczem rozbieżności życia i nadbudowy ujawnia się coraz silniej w procesie zawodowej i duchowej specjalizacji. Odwrót od pełni i żywotności człowieka wyraża się również w przesadnej trosce o narastanie wytworów kultury obiektywnej.

Sztuka była dawniej nierozłącznie zespólna z doświadczeniami życiowymi, później zaczęła — jeśli się tak można wyrazić — muzealizować, obiektywizować się, odsuwać od życia, być fragmentem ludzkiej działalności. Powstały głosy o upadku sztuki. Nie rozumiano i dzisiaj się nie rozumie, że sztuki nie można popularyzować przez szerzenie wie-

dzy, gdyż potrzebuje ona stwarzania skłoności. Rozkwit sztuki i miłości do piękna jest bezpośrednim wyrazem sił życiowych: trzeba przebudować przerost dążeń materialno - gospodarczych, martwą i sztuczną cywilizację współczesną; należy unikać wychowania estetycznego i propagandy z tem związanej. Wychowanie estetyczne winno przewyższać rozdziewiki dwuwarstwowej kultury, a przywracać ludziom bezpośredniość i pełnię.

W ostatniej części autor zastanawia się, ku czemu idziemy w tym biegu i wysiłku kulturalnym, omawia szczegółowo zagadnienia jednostki i zbiorowości, produkcji, konsumpcji, tworzenia i kształcenia. W tych wszystkich rozważaniach chodzi mu o jedno: o naprawienie najcięższego grzechu dwuwarstwowej kultury — przytłoczenia żywotności przez wartości obiektywne, o powrót człowieka do siebie: „Nie dlatego więc (człowiek) np. będzie uprawiał naukę, by służyć postępowi wiedzy, ale dlatego, by osiągnąć w sobie intelektualny ład, by pogłębić w sobie własną kulturę umysłu, by kształtować swój stosunek do Tajemnicy bytu. Od techniki i gospodarki będzie wymagał przede wszystkim, by organizowały ład materialny między ludźmi, nie zaś by funkcjonowały jako maszyny wytwórcze“. Wtedy zmieni się również stosunek ogółu do sztuki: nie będziemy jej uważali za towar, który się konsumuje, sprzedaje, kupuje, reklamuje, robi modnym. Interesowność i snobizm znajdują tutaj swój żer i wreszcie sensację. Tymczasem, aby żyć sztuką, trzeba umieć żyć chwilą; dlatego bez sztuki nie mogą żyć ludy pierwotne; dlatego tak często łączy się ona z religią, stając pojednaniem człowieka z bytem. I Suchodolski stawia jako kapitalną tezę: „Odzyskanie przez sztukę doniosłości znaczenia życiowego jest nierozdzielnie związane z odrodzeniem kultury. Odrodzenie zaś kultury pozwoli znowu dojrzeć wielkość sztuki“.

Z całej rozprawy Suchodolskiego przebiega bezwzględna wiara w żywotność sztuki, w jej silny związek z bytem, w jej konieczność. „Dążymy, — powiada autor, — do takiej kultury, w której znaczenie i wartość przysługiwałyby czynnościom bieżącym, a pragnienie doskonałości nie było rzucone w odległą przyszłość, ale, jako obowiązek żywy, dążyło do pełni wyrazu w każdej chwili naszego istnienia. W takiej kulturze stosunek do piękna nie będzie jak dziś przeciwstawiał się, jako coś wyjątkowego i anormalnego, postawie życiowej, ale będzie z nią głęboko spokrewniony. Zaświadcza też historia, iż epoki intensywnie odczuwające sztukę nie wyznawały zupełnie wiary w postęp, a roz-

wój tej wiary szedł w parze z upadkiem znaczenia sztuki". Musimy zatem dążyć do stworzenia kultury jednolitej, do wewnętrznej doskonałości i harmonii.

Jak zatem widać, praca Suchodolskiego ma charakter pedagogiczny a nie analityczny; powtarzając i systematyzując te zagadnienia, autor miał na celu przede wszystkim uporządkować w umysłach współczesnych czytelników pewne zasadnicze sprawy naszego człowieczeństwa.

Rozprawa B. W. Lewickiego p.t. „Budowa utworu filmowego” zasługuje na szczególną uwagę z tego względu, że za przedmiot rozważań obrano tu nie całość kształt tej sztuki, nie wielość i różność zjawisk, usiłując je sprowadzić do ram jednoznaczności estetycznej, jednym słowem: ogólnie widzianą kinowość — ale właśnie dlatego, że zajmuje się konkretną postacią, t. j. utworem filmowym. Lewicki uznaje, że „budowa utworu kinowego jest podstawowym wyznacznikiem jedności sztuki kina”. A utwór filmowy pomyślany jest jako dzieło sztuki, przyczem do teorii filmu najśluszniej jest wprowadzić kryteria zjawiskowej teorii sztuki. Rzeczywistym składnikiem filmu jest plan i epizod, przyczem sztuka filmowa jest bezpośrednio zależna od techniki. Dzieło jest polifoniczne, złożone z wielu warstw, których istota wywodzi się z ruchliwości kina i ustawicznego działania się. Dialog w filmie jest w rzeczywistości elementem zasadniczo obcym, ze względu na czas, inny dla słów a inny dla obrazów. To samo mamy z muzyką, chociaż w mniej kłopotliwej formie. Autor dla swych teorii posługuje się szeroko dziełem Ingardena *Das literarische Kunstwerk*. Należy wyrazić obawę, czy to stosowanie do dzieła filmowego literackiej analizy jest słuszne. Ostatecznie autor skłania się ku tezie przeżywania wrażeń kinowych, nie zaś ich rozważania.

Witold Hulewicz w artykule „Możliwości artystyczne radja”, uznając niemowlęstwo sztuki radiowej, przyznaje jej jednocześnie autonomiczny byt obok takich uznanych sztuk, jak literatura, muzyka czy malarstwo. Jednak rozwój artystyczny radja nie wydaje się autorowi tak pełen nadziei, jak to naprzykład ma miejsce z kinematografią, i składa to na karb tej konieczności dawania przeciętnej strawy artystycznej masom. Podane skrupulatnie wszelkie samodzielne zdobycze radja, zresztą nieliczne, niezbyt mogą przekonać o integralności sztuki radiowej. Jak dotąd, skłonni jesteśmy myśleć, że radjo — to głównie środek techniczny, nie zaś wyraz. Niewątpliwie, jest ono

„wyrodzynkowane” pewnemi możliwościami, ale np. w porównaniu z kinem, rozporządzającym tym fenomenem, któremu na imię ruch — nie może się nawet mierzyć.

W artykule o teatrze Jan Lorentowicz z konkluduje, że obecnie teatr polski stoi w tem samym położeniu, co teatr Bogusławskiego przed przeszło stu laty: brak polskich sztuk i wskutek tego repertuar trzeba ostatecznie wypełniać importem. Produkcja dramatyczna jest u nas nikła i przeważnie mało wartościowa. Naszem zdaniem, najważniejszym mankamentem teatru polskiego jest brak sceny eksperymentalnej i ludzi beinteresownych, dzielnych a śmiałych wśród reżyserów i aktorów, ludzi z mózgiem. Niestety — organizacja, która w tym wypadku znać bardzo dużo, u nas na każdym polu zawodzi: albo organizatorzy nie wiedzą o co im chodzi, albo wiodą spory między sobą, co jest tem mniej wartościowe, że brak im jasnego poglądu na sprawę.

Michał Walicki rozważa rolę prądów mistycznych w sztuce, przyczem rozpatruje badania Sauera o niepospolicie doniosłej roli, jaką odegrała mistyka średniowieczna w powstawaniu i rozwoju realistycznych kierunków w sztuce. Ta paradoksalna teza dzięki rozważaniom autora przekonywa nas o swej istotności. Interesujące są uwagi Wittiga o rzeźbie francuskiej i Dygata — o Paryżu II-go Cesarstwa i przyszłej wielkiej Warszawie; niestety, brak miejsca nie pozwala nam szczegółowo referować aczkolwiek są tak bardzo na czasie w dobie projektowania Warszawy przyszłości.

W artykule „Drogi i bezdroża biografji” Zygmunt Zaleski broni biografji przeciwko formalistom i innym przeciwnikom tego gatunku literackiego; stwierdza, że biografia zajmuje się człowiekiem w twórcy-artyście — to też, pomimo że dzieło jest trwałe a życie przelotne, pierwsze stanowi część organiczną drugiego. W myśl głęboko pojętego humanizmu, dzieło jest drogą do znalezienia życia z którego wyrosło, środkiem ocalenia tego co ludzkie i znikome. Biograf staje się więc poszukiwaczem metafizycznej jedności tego kosmosu, jaki tworzy dzieło łącznie z okalającym je życiem artysty.

Przegląd literatury w 1934 r., dokonany przez Stefana Kawynę, jest bardzo udatnem zobrazowaniem zjawisk tego okresu; z radością stwierdzić możemy — my, wiecznie niezadowoleni i po uszy zatopieni w aktualności, — że nawet tak krótki przeciąg czasu wykazuje silne tętno naszej

myśli, jeśli może nie głębokiej i oryginalnej, to jednak żywej i z wysiłkiem usiłującej opłacać świat zjawisk i problemów. Podsumowując bilans tego 1934 r., Kawyn wyraża opinię, że jeśli nasze przedsięwzięcia mają być twórcze, jeśli ma wzejść konkretny plon żarliwej siejby znakomitych duchów, to musimy dziełom tch nadać żywy obieg społeczny, a więc przede wszystkim „1) przyspieszyć wydanie sejmowe **Dzieł Wszystkich Mickiewicza** i uczynić zeń kapitał zakładowy każdej biblioteki publicznej w Polsce; 2) przyspieszyć wydanie dzieł Cyprjana Norwida i temsamem oczyścić tę sprawę wydawniczą z mgławicy skandalu i kompromitacji; 3) przystąpić do pełnego zbiorowego wydania dzieł Stanisława Szczepanowskiego; 4) ukończyć wydanie zbiorowe **Pism Abramowskiego**, których tom IV ukazał się jeszcze w 1928 r.; 5) rozpocząć pełną edycję pism Że-

romskiego — wraz z jego listami, pamiętnikiem i całą puścizną pośmiertną; 6) rozpocząć i szybko ukończyć wydanie zbiorowe pism Brzozowskiego; 7) zebrać i wydać artykuły i wszystkie pisma Adama Skwarczyńskiego.

Poza szeregiem prac o charakterze kronikarskim, obejmujących dziedziny plastyki, radja, teatru, filmu czy tańca, tom uzupełniają dwie prace o życiu sztuki zagranicą: w Anglii i w Niemczech. Dział ten, jak to już podnieśliśmy na początku naszego artykułu, jest niepełny i nosi cechy pewnej dorywczości; ale, biorąc pod uwagę olbrzymią i tak objętość tomu i jego jednolitą konstrukcję ideologiczną, pewną wyraźną, precyzyjną i celową linię rozważań — musimy uznać niezmierną wartość drugiego rocznika **Życia Sztuki** w naszym życiu duchowym.

Stefan Flukowski

Druk numeru ukończono dn. 20 października 1936 r.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Chmielna 33 m. 5.

Tel. 2.75-34. Konto P. K. O. 518.

Godziny urzędowe Redakcji od 11 — 15.

Godziny urzędowe Administracji od 9 — 15.

Prenumerata: rocznie zł. 20.—, półrocznie zł. 10.—, kwartalnie zł. 5.—.

Zagraniczna kwartalna zł. 6,50.

Cena numeru pojedynczego zł. 2.—, podwójnego zł. 3.—.

Redaktor: WILAM HORZYCA

Redaktor odpowiedzialny: STANISŁAW PODWYSOCKI

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80

